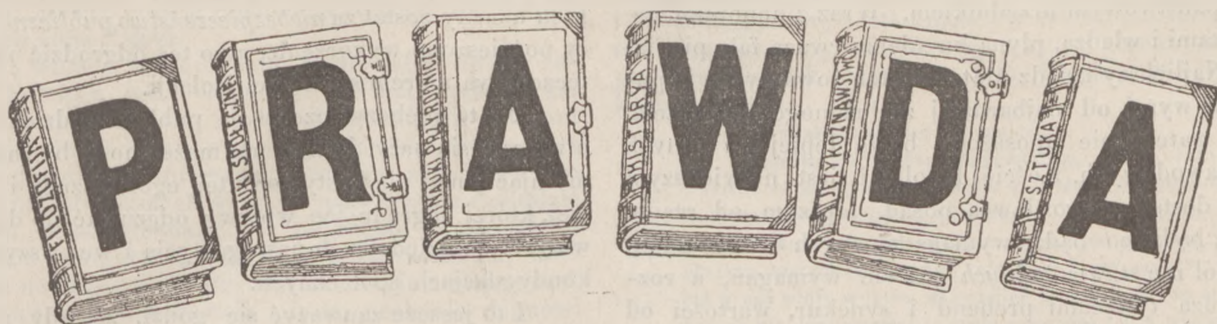
Nr 43 (1553). Warszawa, 22 października 1910 r. **Rok XXX**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Biurokracja kościelna

Gdyby wierzyć podstępnej obłudzie głosów zachowawczych, cień Jasnej Góry legł całunem żałobnym na cały naród polski, pociągnięty przez wspomniane żywioły do współwiny i współpokuty.

Gdyby wierzyć innej formie czelnego fałszu, — należy przejść obojętnie obok zbrodni, będącej zupełnie przypadkowym dziełem wyrodnego mnicha, za co nietylko na ogół, ale nawet na środowisko duchowne żadna nie spada odpowiedzialność.

Widzimy tedy, jak rozliczne, a nawet sprzeczne poruszono sprężyny, byle tylko uchronić biurokrację kościelną od przykrej z Macochem konfrontacji

Istnieje jednak w Polsce opinja niezależna, która przejrzała nawskroś podstępny faryzeizm; zastrzega się ona najmocniej przeciwko niecnej potwarzy, która usiłuje wmówić w naród polski współwinę w strasznej zbrodni, ale zastrzega się też niemniej energicznie przeciw nazbyt pospiesznemu zdjęciu brzemienia ciężkiej odpowiedzialności z ramion kasty kościelnej, której obrazem jaskrawym jest właśnie klasztor jasnogórski z jego przywilejami, samowolą, rozwiązłym trybem życia, gospodarką rabunkową i zupełnym brakiem kontroli.

Zasłona zdarta z tego obrazu, ukazuje zarazem w całej szpetności oblicze rozpanoszonej w tym kraju biurokracji kościelnej.

* * *

Bo Kościół katolicki jest dziś przedewszystkim *biurokracją*, której nie może być obcą żadna z przywar, właściwych wielkim dykasterjom rządowym, nurzającym się w samowoli i bezprawiu.

Mimo twierdzeń o nieziemskim pochodzeniu, jest kościół instytucją nawskroś ludzką, poziomą i ułomną, w stosunku do wymagań nowoczesnych.

W dawno minionym średniowieczu, wśród powszechnej naówczas anarchji, była to jedyna spójna organizacja, to też papież górował nad świeckimi władcami „jako księżyc wśród gwiazd".

Z biegiem czasu kościelna spójnia organizacyjna stała się zbyteczną, a nawet szkodliwą tam, gdzie współżycie światłych jednostek wytworzyło nowoczesne kadry społeczne. I wszędzie Kościół, po zażartej walce, usuwa się poza nawias nowoczesnego życia. wszędzie zmuszono go zstąpić z piedestału wyłącznej władzy do rzędu zwyczajnych zrzeszeń wyznaniowych, które pośród przodujących dziś ugrupowań i stowarzyszeń świeckich, bynajmniej nie pierwsze grają role.

Tymczasem u nas, w Polsce, na tle bezwładu i uwstecznienia opinji, Kościół wybujał znowu i dominuje nad życiem świeckim, jak w najlepszych dla siebie czasach średniowiecza. Są umysły — do takich należy p. R. Dmowski — które w biurokracji kościelnej upatrują jakowyś pożądany surogat rządu, cień władzy niepodzielnej, zdolny zaspokoić nostalgję urodzonych rządowców i biurokratów; dlatego też nakazują świeckiemu geniuszowi narodu uchylić pokornie głowy przed byle rzymskim emisarjuszem. I mimowolnie, biernie, bezwiednie, naród polski pozwolił wciągnąć się w tryby klerykalne... On, który w pierwszej połowie zeszłego stulecia obok Francji przodował Europie nowoczesnością swojej myśli i swych urządzeń — dziś widzi się wyprzedzonym przez Hiszpanję, Portugalję i Tybet, dźwigając na sobie władztwo kasty, której stolicą jest Rzym, a widomym symbolem — Częstochowa.

* * *

Biurokracja kościelna, zmuszona w innych krajach liczyć się z państwowością świecką, bądź z opinją demokratyczną i postępową, u nas na wyjątkowe trafiła warunki.

Państwowość rosyjska, wybitnie teokratyczna, nie uznająca urzędów świeckich stanu cywilnego, mimo różnic a nawet antagonizmów dogmatycznych, tworzy z natury rzeczy wygodne kadry dla kościelnego władztwa. Ksiądz jest w Polsce nietylko rzymskim, ale i państwowym urzędnikiem. Wraz z honorami, zaszczytami i władzą, płyną ku niemu rwącą falą pieniądze. Najlichszy ksiądz nietylko stoi towarzysko i społecznie wyżej od najbardziej zasłużonego obywatela, ale i materjalnie uposażony bywa lepiej od innych sfer zawodowych. Kościół katolicki jest największym u nas dostawcą i rozdawcą posad, lepszym od rządu, który, bądź co bądź, wymaga pewnych kwalifikacji. Kościół nie stawia *żadnych* prawie wymagań, a rozporządza tysiącami prebend i synekur, wartości od 2 do 15 tysięcy rs. rocznego dochodu.

A ponieważ — co przyznają najgorętsi nawet klerykali — ideowa, lepsza część narodu, cała jego inteligencja stroni od karjery duchownej, mimo tak ponętnych prerogatyw — przeto kadry swoje wypełnia Kościół lichym bardzo materjałem, lichym pod względem umysłowym i moralnym.

Z biegiem czasu ten osobliwy dobór ujemny wytworzyć musiał warunki, wśród których zjawił się Damazy Macoch, a zjawiwszy się, zastał koło siebie kontyngens dobranych i gotowych wspólników, nad sobą — żadnej odpowiedzialności, żadnej kontroli, a u swoich nóg — niezliczone rzesze ludu, ślepo uległe, dziecinnie zaufane, z hojną daniną w spracowanych dłoniach.

Oto gieneza *macochizmu*: tkwi on organicznie w łonie kasty kościelnej, w sposobie rekrutowania, w lichocie materjału, w nizkim poziomie etyki zawodowej, a nadewszystko — w bezgranicznej samowoli i wszechwładzy, która zawsze i wszędzie do najhaniebniejszych prowadzi nadużyć, która w człowieku wyzwala zwierzę najniższych popędów — czemu w danym wypadku specjalnie sprzyja kastowa solidarność i obowiązująca niejako obłuda.

I oto okazuje się, że Damazy Macoch popełnił wiadome czyny nie „*pomimo że*" był mnichem, ale *właśnie dlatego*, że wzrósł w murach klasztornych, w środowisku, zapewniającym bezkarność, wśród zakonnego trybu życia, który, szerząc gnuśność i deprawację, wrzędzie, we wszystkich krajach niegdyś katolickich uznany został za *niebezpieczeństwo publiczne* i który pośpieszono wykorzenić, albo też odgrodzić od społeczeństwa murem stosownej izolacji.

Na to niebezpieczeństwo publiczne dziś i nam otwierają się oczy. Polska nie może znosić biernie dominującej nad nią kasty zepsutej, egoistycznej i chciwej, której degradujące wpływy odczuwać się dają we wszystkich dziedzinach naszego życia i we wszystkich kondygnacjach społecznych.

I to jeszcze zauważyć się godzi, że gdy religje reformowane, stosując w swem łonie system demokratyczny (obieralny) zostają w ścisłej zależności od społeczeństwa, poddając się jego kontroli i dyrektywie — jeden tylko kościół katolicki na skutek swej struktury autokratycznej stanowi zwarty i szczelnie zamknięty organizm; stosunek swój do społeczeństwa świeckiego Kościół ten określa bardzo zwięźle, w myśl formuły: „*słuszat' i nie razsużdat'!*". Dyktatura Rzymu wyłącza pokojowe z nim współżycie. Każda jednostka, wchodząc w tryby życia kościelnego, musi się uprzednio z narodu wyobcować. Niedarmo nowy okólnik papieski każe profesorom seminarjów duchownych co rok składać przysięgę na wierność, bowiem każdy rok jest dla strategów rzymskich epizodem zajadłej walki z duchem współczesnym, walki, w której posługiwać się mogą tylko ślepo oddanymi, rygorem kościelnym spętanymi ludźmi...

Wroga spółczesnemu życiu, obca naszym narodowym uczuciom — czego dowodem sprawa przeniesienia zwłok Słowackiego, obchód Grunwaldzki i świeży pogrzeb Konopnickiej—biurokracja kościelna, będąc nadto gniazdem wszelakich Macochów staje się dla społeczeństwa groźbą, niebezpieczeństwem, ciężarem nie do zniesienia.

Leon Choromański.

Ostatni wieczór księżycowy błazna

NOWELA.

Morze szumiało głęboko w dole, a wysoki brzeg zapadał stromo. Fale szły i rozbijały się o ląd. Pas białej piany drżał w cieniach wieczoru. Czasem zalśniło morze kipiącym srebrem, lub zajaśniało płomieniem ametystowym.

Skurczony błazen siedział na wybrzeżu obok schodów marmurowych, które zbiegały aż do powierzchni wód. Podparł głowę rękoma, a pokurczoną twarz utkwił w odległym widnokręgu, gdzie odrywała się cicho pełnia. Wytaczała się z głębi, lśniąca i mokra, strzelała wachlarzami promieni po migotliwych falach. Wychodziła z morza jak naga kobieta, a gdy się wzniosła, okrągła i jarząca, załaskotała serce błazna melancholją marzenia. Wydało mu się, że jej krąg jest jasną bramą, z której wyleciało dwanaście śnieżnych łabędzi, a każdy łabędź niósł w dziobie zieloną świeżą gałązkę z białym kwiatem.

Smutek przytłoczył pierś błazna. Zaczął myśleć o wspaniałym pałacu, który stał o pół godziny drogi od brzegu i gdzie upływało dotąd jego życie. Pałac marmurowy z lasem kolumn, ze srebrzystą lamą wieżyczek, z kryształami okien i wyrafinowaną mozajką ścian, był mieszkaniem starego króla i królewicza. Lecz stary król umarł niedawno. Złożono go w podziemiach zabalsamowanego. Tam leży z berłem w dłoni, z brzuchem wypchanym wonnymi ziołami. Królewicz, lubiący się śmiać młodzik, został królem. Różnica pięciu lat wieku między nimi, a jakże wielka różnica położenia i stanowiska. Król piękny, zdrów, bogaty i wszechładny. Każdy kaprys jego staje się prawem. Najpiękniejsze kobiety otaczają go wieńcem łon falujących. Każda czuje się szczęśliwą, gdy raczy spojrzeć na nią. A on brzydki, garbaty, z pucołowatą twarzą miedzianą, z oczkami, tonącymi w wązkich szczelinach, z nosem zadartym i śmiesznym, jak zabawka dziecięca. A jednak ten bogacz urodziwy żądał od błazna wesołości! Chciał się śmiać i śmiał się przez błazna. Gdy był pacholęciem, wskakiwał mu na garb i jeździł okrakiem, smagając śmieszka batem. Gdy był młodzieńcem, błazen w pstrym stroju, ku

Pogrzeb Marji Konopnickiej.

Po Orzeszkowej Konopnicka. Koleje życia łączyły wielekroć dwie nasze wielkie pisarki, łączyła je przyjaźń, śmierć prawie równoczesna, choć na dwuch krańcach ziem Polski.

Na trumnę Konopnickiej, padły żal i kwiaty zarówno Polaków, jak i Rusinów. Wielka pieśniarka, która nie splamiła się nigdy niesprawiedliwym, ani nienawistnym sądem, nie sprzeniewierzyła ideom szeroko pojętego humanitaryzmu, umiała przemówić do serca i umysłu naszych wrogów narodowych i obudzić w nich cześć głęboką. W pogrzebie brały udział wszystkie stronnictwa, wszystkie stowarzyszenia, korporacje naukowe, uniwersytety, akademja umiejętności, szkoły wyższe i niższe, rada miasta, posłowie sejmowi z marszałkiem, namiestnik, słowem od szczytów społeczeństwa począwszy aż do jego głębin — cały naród. Ta wielka fala ludzka, którą obliczają na 50 tysięcy, nie przedstawiała może tak harmonijnej zwartej całości, jak orszak, który przed trzema laty przeprowadzał na Skałkę prochy Wyspiańskiego, ale Lwów czcił wielką poetkę i obywatelkę jak mógł i umiał. Rzucono do jej stóp setki wieńców i popłynęły mowy gorące i szczere, choć może milczenie byłoby jeszcze wymowniejsze.

P. Anna Neumanowa, literatka lwowska mówiła imieniem kobiet lwowskich, a poseł Kudec od partji socjalno-demokratycznej, zowiąc ją poetką proletarjatu. Z przemówienia tego warto przytoczyć ustęp, świadczący, jak dobrze rozumianą była poezja Konopnickiej w sferach proletarjatu.

Poezja Konopnickiej—mówił—jest smutna — jak smutna jest dola narodu. Jej śpiew, to głos bólu, jej zwrotki to skarga na niedolę ludu, który ukochała nadewszystko. Najpiękniejsze kwiaty swojego natchnienia poświęciła ludowi, który w znoju i pocie pracuje ciężko na chleb codzienny dla siebie i buduje przyszłość narodowi. Wszystkie drgnienia serca swojego wielkiego zwróciła do ludu, wierzyła w jego twórczą siłę, do ludu przywiązała nadzieję odrodzenia, w ludzie pracującym widziała rękojmię oswobodzenia z kajdan niewoli.

Do niskich chat, do warsztatów i fabryk, na poddasza i do głębi kopalń zwracał się wzrok zgasłej wieszczki. Głos jej był głosem sumienia, gdy wołał „O! dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi!“

Z pośród prasy odezwał się tylko jeden głos Adama Zagórskiego, który przemówił imieniem *Kurjera Lwowskiego* i wołał „całą duszą zostałaś z nami, bo całą duszę dałaś narodowi”.

Najsilniej może bo z zapałem i uczuciem młodości przemawiali akademicy pp. Gluziński, Roettinger i Soblówna, której krótką mowę w całości przytaczamy tak charakterystyczną stronę tężyzny ducha poetki przypomina i tak znamienną jest dla dzisiejszego pokolenia kobiet.

Nazwałaś nas rotą bojowniczek.

Mówiłaś nam: „Zaprzysięgam cię, młoda roto bojowniczek światła pod sztandarem wolności! Wolności ducha, wolności pracy, wolności Ojczyzny“. Całym życiem swoim uczyłaś nas, że nie można walczyć samym zapałem, że „za pługiem naszym siać musimy nie mary, lecz czyny“. Wlałaś w nas wiarę w jutro, wzbudziłaś zrozumienie, że nie czekać na nie, lecz wyrwać je życiu przemocą i siłą trzeba.

Należałaś do duchów, których udziałem wskazywać drogę *innym*. Nam pozostaje hasła twe podjąć, „by wolny mógł śpiewać ptak, by ziemia rodzić mogła dla łaknących kłosy, a światło świecić mogło dla pochylonych głów“.

Wobec Twej otwartej mogiły przyrzekamy Ci to Pani!

Wobec Konopnickiej jednak wypowiedzieć się chciały wszystkie warstwy i cześć oddać jej cieniom, jak kto rozumiał i potrafił. Piękną też była mowa wice prezydenta Rutowskiego, który mistrzynią słowa żegnał imieniem miasta, zowiąc ją Archaniołem, co swe srebrzyste skrzydła rozprzestrzenia nad ojczyzną.

Formą władała jak wielcy mistrze, ale musiało w tej poetce być coś więcej, skoro znalazły się tu te tysiączne rzesze. Bywali mistrze formy, są i dziś jeszcze, co tym mistrzostwem wypłynęli ponad innych. W tej, której śmiertelne szczątki za chwilę oddamy ziemi, była wielka myśl, bezdeń uczucia, miłość nieograniczona dla wszystkich, co cierpią, dla wydziedziczonych i biednych... Poetka serca chłopskiego, poetka robotnika, poetka dzieci — Ona niosła tym wszystkim, których nękała niedola, ból serdeczny i żal, współczucie głębokie, Ona otwierała tym znękanym horyzonty wyższe i szersze Ona ukochała ten lud polski, pragnąc, aby te wielkie miljonowe masy ukochały wielką przeszłość, by wzięły w dusze swoje ideały tych wszystkich, co niegdyś walczyli o całość i wielkość ojczyzny, by zastąpiły szeregi tych, których ubyło i były, jak mówiła, „budownikami przyszłości.

Jan Kasprowicz jeden z niewielu poetów, którzy się na pogrzebie znaleźli, podniósł, że Marja Konop-

---

ciesze królewicza, stawał na czworakach i szczekał na dworzan, udając mopsa. Gdy król skinął, śmiał się, rozdziawiając gębę od ucha do ucha, stroił miny, tarzał się po posadzce, trzymając się za brzuch i udając otrutego. Rozdymał policzki, pokazując księżyc, wychodzący zza wzgórza, albo naśladował kwakającą żabę. „Kwa! kwa! kwa!” — darł się z całej piersi, wytrzeszczając zabawnie oczy. Gdy przechodziła panna dworska — królewicz kazał mu udawać zakochanego, mizdrzyć się, wspinać na palce, sięgać wysuniętymi naprzód wargami do świeżego ramienia, aż zniecierpliwiona dziewczyna wymierzała mu policzek. Błazen przewracał się i toczył jak kula pod nogi śmiejącego się do rozpuku królewicza.

Tak biegły lata. Gdy król zasypiał i kończyła się służba trefnisia, szedł błazen do pokoju swego na wysokiej wieży, otwierał okno i, patrząc na morze niezmierzone, grał na flecie.

Dziś właśnie wrócił król z sąsiedniego państwa, przywożąc ze sobą młodą żonę. A gdy para nowożeńców wjeżdżała do zamku, grali radośnie heroldowie na srebrnych trąbach, powiewały chorągwie, działa grzmiały, aż morze, zdawało się, odpowiada rykiem fal na łoskot wystrzałów. Królowa wyszła ze złocistej karocy i przeszli oboje, dumni, piękni i uśmiechnieni, po drodze, szkarłatnym słanej suknem, wśród podwójnego szeregu dworzan i dam, chylących przed nimi głowy w klejnotach.

Teraz błazen siedział nad morzem i myślał o pięknej królowej. Była cudna, jak żadna z pań, które widywał dotąd. W uchu jego słodko szeleściła jej szata. Ponura tęsknota gryzła mu serce...

...„Wszyscy śmiali się — myślał — a nikt nie ostrzegł. Nikt nie wziął mnie za rękę, nie zajrzał do oczu jak przyjaciel, nie szepnął ostrzegawczo: baczność! Dzwoniły godziny, szły jedna za drugą, pełne gadania, czczego szelestu słów, dworowania i pustoty. Dość błaznowałem przez życie. Teraz chcę miłować. Chcę czcić, kochać, gorzeć w zachwycie! Mam prawo żyć tęsknotą, która oto schodzi z głębi mego serca, bije słupem ognistym w głąb Niebios i sięga dna Piekieł. Teraz dopiero ujrzałem, że i ja jestem Wędrowcem, że kroczę po wielkiej dolinie. Z jednej strony szemrze mi sad niebieski, a z drugiej huczą czeluści piekielne. Jakże się to stało, żem nie widział dotąd swej duszy? Królowa dobroczynna spojrzała i przejrzałem... Najcudowniejsza, najwyższa i najcichsza godzina nadeszła, gdym ujrzał królowę. Zdaje mi się, że byłem niegdyś szczęśliwy, lecz zapomniałem o tym. Ona przywróciła mi pamięć. Bądź zawsze tak pięk-

nicka uratowała poezję w dobie, kiedy t. zw. wytrzeźwienie narodu przypisywało jej źródło nieszczęść. Poseł Bojko, podniosłszy wielką miłość poetki do ludu wiejskiego, postawił jej bezinteresowną dla tego ludu przyjaźń, obok uczuć Staszica i Kościuszki. Imieniem 10 towarzystw kobiecych z Krakowa żegnała zmarłą p. dr. Z. Daszyńska-Golińska, kończąc swe przemówienie słowami:

Nie na dziś i dzień najbliższy, ale na wieczność buduje prawdziwy poeta i oto wierzymy, że harfa wieszczki naszej brzmieć będzie przez długie wieki.

Wierzymy, że naród pójdzie za Jej wskazówkami i kuć będzie sam kształty swej przyszłości.

Wierzymy, że przez Nią i dla Niej kobieta polska szanowaną będzie, jako przewodniczka swego narodu.

Wierzymy, że tak jak nakazała, przyszłe pokolenia odrodzą się w czystości i sile.

Za te wiary, któreś nam pozostawiła w spuściźnie hołd Ci i cześć.

Za te blaski piękna, harmonji, barwy, którymi opromieniłaś twardy żywot pokoleń obecnych, dank Ci niesiemy.

Za ten hart ducha, do którego niezmordowanie nawoływałaś, podzięka najwyższa.

Za to ukochanie wszystkiego co krzepkie, żywotne i wiecznie młode, niech imię Twoje na zawsze rozbłyska w Panteonie Nieśmiertelnych:

Żegnaj szlachetna przewodniczko Narodu

Kobiety polskie u mogiły Twojej przysięgają, iż Duch Twój i wskazania rozświetlać im będą drogę ku przyszłości

Pogrzeb Konopnickiej był nietylko, rzewnym pożegnaniem wielkiego ducha przez naród, ale i aktem w którym ujawniła się dusza tego narodu, a w zgodnym chórze strun które rozbrzmiewały brakowało jedynie tych, które już dziś poza narodem stoją: wyższej arystokracji i dostojników kościoła.

Dla pierwszych ona ledwo istniała, nie śpiewała im nigdy, gorszyła ich może. Drudzy osądzili, że nie mogą na wieczną drogę towawarzyszyć popiołom tego wolnego i współczesnego gienjuszu.

Arcybiskupi i biskupi, których udział w pogrzebie zapowiadały gazety, tak jak nie chcieli przewodniczyć niedawno uroczystościom grunwaldzkim, podobnie usunęli się od pogrzebu tej, za którą dziś płacze i tęskni cały naród. Czy ten drugi dowód separatyzmu z dążeniami społeczeństwa nie przekonana wreszcie, że katolicyzm i polskość różnymi idą drogami?

Szczątki Marji Konopnickiej złożono w tymczasowym grobie nieopodal grobu Ordona. Właściwym dla nich miejscem będzie grób zasłużonych na Skałce, o co upomina się już głos opinji publicznej.

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

Myśli przewodnie w sprawie wychodźctwa.

(Ciąg dalszy).

II.

Nizki poziom kultury rolnej i przemysłowej obniża zdolność żywicielską krajów polskich i powiększa rzesze tych, którym kraj nie jest w stanie dawać chleba i zarodków. Zaniedbanie i niedostateczne szkolnictwo na ziemiach polskich, uganiające się za polityczno-religijnymi celami, starannie unikające dostarczania wartościowych wiadomości, daje obraz najdroższych i najlichszych jałowych szkół, które obniżają życiową i gospodarczą wartość swych wychowańców. Gdy do tego dodać upośledzenie prawno-państwowe w walce o byt z uprzywilejowanymi pod tym względem zwierzchniczymi narodami, to stanie się zrozumiałym, że kraje polskie są jedną olbrzymią fabryką, wytwarzającą kulisów Europy i nędzarzy, których rozpacz pcha albo do wyniosłej, zuchwałej grabieży, albo do próżniaczego, potulnego żebractwa, jeżeli nie do taniej sprzedaży pracy. Urzędniczy, policyjno-militarny, wyznaniowo-klerykalny charakter krajów polskich, z tym tylko licuje i jaskrawo odróżnia je od innych krajów cywilizowanego świata typu naukowo-gospodarczego.

Kapitalistyczny ustrój pożąda taniej robocizny, która ułatwia współzawodnictwo handlowo-przemysłowe między rywalizującymi krajami Zachodu. To daje wychodźczej polskiej nędzy znajdować oparcie zarobkowe na obczyźnie. Ucisk polityczny ze strony narodów zwierzchniczych i związane z tym obniżenie kultury we wszystkich dziedzinach życia zbiorowego najsilniej daje się odczuć najsłabszym t. j. masom lu-

---

ną, królowo, abym w twojej obecności postradał trzeźwość zmysłów i duszę odnowił. Uczyń mnie tak szczęśliwym, abym, zajrzawszy w źwierciadło, nie poznał siebie"...

Rozmyślał tak długo, a wieczór stawał się cichszy. Morze się uspokoiło. Leżało u stóp jego nizko, ledwie kołysząc się jak zwiewna przędza srebrna, rozciągniona aż po kresy widnokręgu. Marzyło jak usta ukochane, czekające na pocałunek.

Nagle usłyszał za sobą błazen dźwięki muzyki królewskiej. To był orszak monarszy. Na przodzie trzech trębaczy z marzącą melodją na przytłumionych misternych trąbkach. Dalej król i królowa, wziąwszy się za ręce, jak dwoje ludzi prostych, którzy się kochają, a na końcu kilku ulubionych dworzan, dwa olbrzymie charty i garść rycerzy z małym sztandarem królewskim. Zwyczajna skromna przechadzka na brzeg morza!

Obrócił się błazen i zapatrzył w twarz królowej. Marzenie jego prysło! Lodowata fala zwątpienia uderzyła go i powaliła w rozpacz!

„Zapóźno! Zapóźno! I cóż ci służba u króla? I śmiech, który budzisz w ludziach? Czy warto żyć, jeśli nie jest twoją, ani nią będzie kiedy?"

Król szepnął coś do ucha małżonce.

Oboje stanęli blizko, o dwa kroki od niego. Król sądził, że zapatrzenie się śmieszka na królowę jest wstępem do nowego niesłychanego żartu. Uśmiechał się zachęcająco. Królowa też patrzyła i czekała.

Błazen otrząsł się z goryczy. Nie widział teraz i nie czuł nic prócz czarownej piękności monarchini. Obezwładniała go. Jej wzrok jak cudowna muzyka wchodził przez oczy do jego duszy — tam śmiał się, pląsał i śpiewał w urocznym upojeniu!

Milczał błazen i patrzył.

— No! — rzucił król niecierpliwie.

— Wszystko, co robi błazen, błazeństwem się staje — pomyślał trefniś. — Moje rzemiosło pożarło mnie. Król, ledwie spojrzał na mnie, już chce krotochwili.

Dopiero teraz spostrzegł monarcha, że błazen ma oczy. Były to oczy pełne żałosnego nieszczęścia — które wiedzą, że tylko w otchłani Śmierci znaleźć można ukojenie. I nagle te oczy krzyknęły z zachwytu. Na mgnienie stały się mądre i szczęśliwe.

Król spojrzał piorunująco w źrenice błazna, a potym w twarz królowej.

Królowa zapłoniła się i zadrżała. Zdawało się, że mówi: „Cóżem ja winna?"

dowym, które wciąż tylko były rozbrajane a nie uzbrajane, obdzierane z praw i przywilejów. To też choć istnieje znikoma rozproszona garstka wychodźctwa politycznego, naukowego, artystycznego, zawodowo-technicznego pośród Polaków, jednak olbrzymia przeważająca ilość zarobkowego wychodźctwa polskiego obecnie prawie wyłącznie rekrutuje się z pośród proletarjatu bezrolnego i małorolnego i wszelkiego innego rodzaju zubożałego gminu.

To nadaje wychodźctwu polskiemu odrębną fizjognomję, która wyróżnia je od wychodźctwa z innych krajów. Wychodźctwo z innych krajów jest mniej lub więcej wyrazem expansji tego kraju i uczestniczą w tym wychodźctwie wszystkie odłamy społeczne narodu, począwszy od kapitalisty przedsiębiorcy, skończywszy na kataryniarzu. Dzięki temu, na wychodźctwie odnajduje się ułamek całokształtu narodu, który odbudowuje się i przybiera formację, zgodną z tendencją rozwojową, nabytą w macierzy, a dzięki temu, uzgodnioną z życiem narodowym porzuconej ojczyzny.

Inaczej się rzecz ma z polskim wychodźctwem.

Z Polski emigruje ten stan, który jest najmniej uświadomiony politycznie, społecznie, narodowościowo, który przez ciemnotę, biedę i brak wszelkiej kultury jest najwięcej uniedołężniony i bezsilny. To jest głównym źródłem i przyczyną niepowodzeń i nieszczęśliwych przygód, jakie wychodźcę polskiego spotykają podczas udawania się do miejsca osiedlenia lub po przybyciu do osiedleńczego kraju. Inspirowana przez agrarjuszowskie podszepty prasa, powołana i niepowołana do omawiania spraw wychodźczych, udając naiwną, zdążyła już rzucić klątwę na wszystkie kraje osiedleńcze, jakie tylko na naszym planecie istnieją, mając zawsze w zapasie takie naiwne i dziecinne argumenty, jak te, że np. wychodźcę Błażeja tam okradli, owdzie emigranta Macieja oszukali, innym znów razem Andrzeja Kłonicę wywieźli tam, gdzie nie chciał i tak bez końca w kółko jedno i to samo. Rozmyślnie milczy się, że tego rodzaju fakty nie dyskredytują krajów osiedleńczych i ich stosunków, lecz dyskredytują Błażeja, Macieja, Andrzeja i Walentego a raczej ich polski kraj ojczysty, gdzie pozwolono wypielęgnować się ich bezprzykładnemu niedołęztwu, niezaradności i niewiedzy!

Lud polski ciągle chodzi z oberwanym nosem, bo ma tysiące szlagońskich i księżych nianiek, z których jak zapewniają właściwe panegiryczne kurjerki i tygodniki, jedna jest godniejszą uwielbienia od drugiej.

Tysiące ludzi, należących do innych narodowości, osiedla się w Brazylji, w Kanadzie, w Stanach Zjednoczonych, w Południowej Afryce, Argentynie i dochodzą do dobrobytu i do zamierzonych przez się celów a polskiego wychodźcę w tych samych warunkach spotyka ją albo zupełne niepowodzenie, albo dużo niklejsze wyniki. Skoro tak jest, więc przyczyna tkwi nie w osiedleńczych krajach oraz ich stosunkach nie zawsze idealnych, lecz w najgorszym razie jeszcze możliwych. Przyrzyna musi tkwić w różnicy co do jakości ludzkiego materjału osiedleńczego, który stanowi nie mniej ważny czynnik powodzenia, jak i obrany kraj osiedleńczy. W miarę dźwigania się kulturalnego ludu polskiego, w miarę wzrostu jego uświadomienia i wiedzy przygody nieszczęśliwe Błażejów, Maciejów, Walentych przejdą do historji i pozbawią obłudnych lub głupkowatych pismaków bezkrytycznych, do podtrzymywania fałszywej tezy.

W miarę tego, jak rozpacz i nędza przestaną wyganiać z rodzinnego kraju wychodźcę polskiego a motywem wychodźczym stanie się świadoma celu i środków chęć bytowania w łatwiejszych warunkach i chęć zdobyczy o podkładzie ideowym, uzbrojona w odpowiedni zasób wiedzy, środków pieniężnych i umiejętności, to i wychodźca polski na obczyźnie dozna innego, lepszego losu, jak to ma miejsce z wychodźcami z innych krajów. Wyrwany z swego osobliwego środowiska, nie mającego podobnych sobie i postawiony w normalne warunki bytowania cywilizowanych narodów, wychodźca polski najgorzej zdaje swój egzamin z umiejętności życia i pozostaje na stanowisku upośledzonym a nie naczelnym, tworząc coś w rodzaju słowiańskiego „ghetta".

c. d. n. *Alexy Kurcjusz.*

Listy z Galicji.

XII.

Rada Narodowa. Reforma wyborcza do Sejmu. Delegacja kobiet do marszałka. Pan Dembowski. Kronika Powszechna. Dyskusja w kwestji rusińskiej w sejmie. Kampanja klubu Reformy lwowskiej Rady miejskiej. Reforma wyborcza do Rady miejskiej. Śmierć Konopnickiej.

Czytelnicy *Prawdy* przypominają sobie, że narodowa demokracja i inne stronnictwa myślały już dawno o utworzeniu Rady Narodowej, którąby repre-

---

Ha, a więc to tak? — warknął król w duchu. Mój pies równa się z królem... Spoczął brudną myślą na królowej. Chce być ten knur jak król... oczarowanym... Chce pić z tej samej czary! O królowo! O moja pani nadziemska, czyż i przed błaznem ma król strzedz twej piękności? Już marzy zapewne o tym, że otruje króla, siądzie na tronie i w pianach swego błazeństwa utopi oburzenie ludu, prawdę i piękno hierarchji! Ten padalec obudził się nareszcie i chce gryźć krzywymi zębami!

— Zaiste mój król — myślał trefniś — sam jest jeszcze błaznem wobec morza, więc nie chce marzenia: chce być bawiony.

— No, dalej! — sarknął niecierpliwie król, trącając błazna nogą.

— Ledwiem zamarzył być człowiekiem — już król kopie mnie — pomyślał błazen.

Kipiącymi uwielbieniem oczyma a milcząc patrzył na królowę. Nie słyszał głosu króla ani jego rozkazów.

— Królowo — przemówił nagle, jakby wbrew wiedzy i woli. — Zrób to, czego Bóg zaniechał: uczyń mnie szczęśliwym.

Wtedy król kopnął go z całej siły w piersi.

Błazen wydał okrzyk bólu i, trwogi i, koziołkując w powietrzu, zwalił się w morze.

Zapadł w fale i borykając się rozpaczliwie wypłynął. Jego pierś rozbita chrapała i skowyczała. Spojrzał po morzu spokojnym, jak srebrna równina, i zwrócił oko na brzeg. Wysoko nad sobą ujrzał głowy króla i pięknej królowej, zawieszone nad krawędzią urwiska. Śmiali się oboje. Królowa wskazywała nań palcem, na którym lśnił rubin.

Pogrążył się znowu, lecz wychylił jeszcze i szerokimi ustami krzyknął:

„Niech żyje królowa!"

Potym woda zalała mu gardło.

Król kazał wydobyć jego trupa i pochować z błazeńskimi honorami. Ubrano go w pstrą szatę bufiastą, włożono flet w usta, policzki pociągnięto farbą różową, na końcu nosa zrobiono ciemną plamę z karminu. Pogrzebano trefnisia na wydmie piaszczystej, poczym król kazał ogłosić konkurs na nowego błazna.

KONIEC.

zentowała społeczeństwo polskie w Galicji i Austrji, kierowała polityką „narodową". Instytucja taka pożądana była głównie dla żywiołów wstecznych, którę, pod pozorem „zagrożonych interesów polskości", pragnęły zwalczać narodowy ruch rusiński i radykalizm polski. Tam Grabski miał jeszcze i swoje własne wyrachowanie związane z Radą Narodową. Chciał on aby to ciało stało po nad Kołem polskim do którego nie należy. Skonstruowany przez niego plan Rady narodowej miał mu w niej zapewnić przewagę. Pragnął on aby ta nowa organizacja „narodowa" reprezentowała nietylko stronnictwa polityczne, lecz także, a nawet przeważnie, istytucje, w których „jego ludzie" mają przewagę. Tak więc „Sokół", „Towarzystwo Szkoły Ludowej" i inne instytucje miały wybierać delegatów do tej rady. Mało co brakowało do tego, aby kawiarnie w których się schodzą narodowi demokraci wybierali także delegatów do tej Rady.

Inne stronnictwa polityczne poznały się jednak na tym projekcie p. Grabskiego, który miał niby na celu reprezentowanie instytucji „narodowych" a nie partji. i spojrzały nań tak jak na to zasługiwał.

Obecnie Rada narodowa już się zorganizowała na innych jednak podstawach; jest bowiem delegacją stronnictw politycznych w Galicji.

Składa się z 30 osób.

Konserwatyści zachodnio-galicyjscy mają 5-ciu przedstawicieli którymi są: Michał Chyliński, Stanisław Jędrzejewicz, Alfred Halban, Stanisław Niezabitowski i Stanisław hr. Stadnicki. Podolacy (wschodnio-galicyjscy konserwatyści) mają także 5-ciu delegatów: Artura Cieleckiego, Kazimierza Laskowskiego, Stefana barona Moysa-Rosochackiego, Jana Viviena i dr. Aleksandra Vogla. Konserwatyści, reprezentujący wielką własność ziemską mają razem 10 przedstawicieli to jest $^1/_3$ całej Rady narodowej.

Demokraci mają razem także 10 przedstawicieli. Delegatami narodowych demokratów są: Jan Gwalbert Pawlikowski, Stanisław Grabski, dr. Ernest Adam, Jan Rozwadowski i dr. Aleksander hr. Skarbek.

Delegatami demokratów bez przymiotnika są: dr. Ernest Bandrowski, dr. Henryk Kolischer, Jan Kleski, Ferdynand Maiss i Tadeusz Rutowski.

Centrum ma dwu przedstawicieli: dr. Maksymiljana Thuniego i Tadeusza Wrześniowskiego. Stronnictwo chrześcijańsko-społeczne jednego — księdza Stanisława Stojałowskiego.

Ludowcy pięciu: Jakóba Bojkę, dr. Stanisława Stefczyka, Jana Stapińskiego. Jana Wasunga i Wincentego Witosa.

Wreszcie reprezentantami posłów nienależących do żadnego stronnictwa są: Tadeusz Cieński i Albin Rayski.

Powyższe ilościowe ustosunkowanie przedstawicieli stronnictw jest wadliwe. Przedewszyskim konserwatyści mają stanowczo za dużo głosów, to samo da się powiedzieć o centrowcach i przedstawicielach posłów dzikich, którym jeden głos powinien był zupełnie wystarczyć. Natomiast ludowcy powinni byli dostać więcej przedstawicieli niż 5-ciu, gdyż reprezentują najliczniejszą klasę społeczną w Galicji.

Narodowi demokraci mają 5 głosów, nie ulega jednak watpliwości, że bardzo często na korzyść najreakcyjniejszych postulatów głosować będą z nimi Podolacy, ks. Stojałowski i przedstawiciele dzikich, tak że narodowym demokratom nietrudno będzie mieć za sobą 13 głosów na 30-ci. Dla walki z obecnym rządem krajowym łatwo im będzie zebrać te glosy.

Jeżeli zaś przedstawiciele centrum przyłączyliby się do nich, to mieliby razem glosów 15 a więc połowę.

Przeciwko koalicji narodowo-demokratycznej, może być łatwo 10 głosów (5 ludowców i 5 demokratów), a w niektórych sprawach, byłoby 15 głosów (5 gł. lud. 5 gł. dem. 5 zach. gal. kon.).

Rada narodowa nie odegra zapewne ważnej roli w polityce krajowej i państwowej, gdyż trudno przypuścić aby Koło polskie poddało się jej kierownictwu, aby namiestnictwo i wydział krajowy słuchały jej nakazów. Rada narodowa prawdopodobnie odgrywać będzie znaczną rolę tylko przy ustaleniu kandydatur poselskich.

Instytucja ta mieć będzie wpływ ujemny, gdyż pod pozorem „niebezpieczeństwa rusińskiego" łączyć będzie różne żywioły polskie, utrudniając przez to sprawiedliwe uregulowanie stosunków między Polakai Rusinami w Galicji.

Reforma wyborcza utknęła, chociaż zdawało się już, że przyjdzie do skutku. Namiestnik Bobrzyński jeździł do Wiednia i porozumiewał się tej sprawie z rządem. Lewica sejmowa godziła się na daleko idący kompromis, chciała jednak aby nowa ordynacja wyborcza była krokiem naprzód na drodze do demokratyzacji społeczeństwa. Godziła się więc: na 5 kurji, na 4 istniejące i nową piątą, na pluralność nawet w kurji włościańskiej; odrzucała natomiast kurję średniej własności, pluralnosc w miastach; damagała się zwiększenia liczby posłów z miast z 28 na 36, i kilkunastu mandatów dla 5-tej kurji.

Namiestnik Bobrzyński popierał ten plan, zdawało się nawet, że konserwatyści zachodnio-galicyjscy zaaprobują ten projekt. Początkowo wyraźnie przeciwko niemu wystąpili tylko Podolacy. Tymczasem okazało się: że cała prawica sejmowa, t. j. oba odłamy konserwatystów, nie chce nic ustąpić i domaga się znowu nowej kurji w postaci delegatów utworzyć się mającej Rady kulturalnej krajowej; że nie godzi się na zwiększenie liczby posłów z miast, że wreście pragnie dać śmiesznie małą reprezentację dla tych, co dziś usunięci są od głosowania. Konserwatysta poseł Jaworski zażądał, aby sejm ustalił ogólne podstawy reformy administracyjnej, i od tego uczynił zależnym uchwalenie reformy wyborczej, bez oznaczenia bliższego jej charakteru.

Lewica sejmowa tracić poczyna cierpliwość. Posłowie Leo i Bojko złożyli odpowiednie deklaracje.

Sejm zmarnował cały miesiąc. Głównym intrygantem przeciwko reformie wyborczej jest, były, smutnej pamięci, namiestnik Galicji, Leon hr. Piniński.

Dnia 12 października udała się delegacja kobiet, złożona z przedstawicielek różnych stowarzyszeń, Polek i Rusinek do marszałka z żądaniem uwzględnienia przy reformie wyborczej praw kobiecych. Delegacja oświadczyła się za czteroprzymiotnikowym prawem głosowania, bez różnicy płci,

Słowo Polskie jest zgorszone udziałem Rusinek i socjalistek w powyższej deputacji. Pani Tomicka dała *Słowu* odprawe w *Kurjerze Lwowskim*, co wywołało znowu replikę *Dziennika Polskiego*, organu kołtunerji lwowskiej. *Słowo Polskie* i *Dziennik Polski*, w szowinizmie swoim i kretynizmie nie mogą zrozumieć konieczności współdziałania kobiet polskich i rusińskich w walce o zdobycie praw politycznych, oraz naturalnego ich sojuszu z socjalistami, walczącymi za równouprawnieniem obojga płci.

Pan Dembowski wice prezydent Rady Szkolnej Krajowej znowu się ośmieszył. Ludowcy wnieśli interpelacje, w sprawie przeniesienia prof. Janika ze Lwowa do Dębicy, którą podpisało tylko 9 demokratów. Interpelacja ta niepodobała się oczywiście p. Dembowskiemu. Poseł Kolischer (który podpisał wspomnianą interpelację) zwrócił się do p. wiceprezydenta w jakiejś sprawie, a p. Dembowski odpowiedział mu grubjańsko, że posłowie, co podpisują interpelację w sprawie prof. Janika nie mogą liczyć na przychylne załatwienie spraw, które popierają w Radzie Szkolnej Krajowej.

Cyniczna ta odpowiedź urzędnika wywoła słuszne oburzenie w sejmie.

P. Dembowski powinien dostać koniecznie dy-

misje za swoją nieudolność, za lekceważenie praw obywatelskich profesorów i nauczycieli, wreszcie za swoje aroganckie zachowanie się. Jako możliwych następców p Dembowskiego uważają posła Germana, albo prof. Twardowskiego.

Gdyby obecny sejm galicyjski miał poczucie godności własnej, to niezniósłby takiego zuchwałego urzędnika, jakim jest p. Dembowski.

Jeżeli rząd sam nie usunie tego aroganta, to żywioły demokratyczne powinny przedsiębrać odpowiednie kroki w Wiedniu przeciwko p. Dembowskiemu, którego prowokujące zachowanie się wymaga energicznego karcenia.

Socjaliści poruszą jeszcze w parlamencie sprawę prof. Janika.

Lwowu przybyło jeszcze nowe pismo *Kronika Powszechna* organ wsteczno-katolicki, redagowany przez znanego w Warszawie „rycerza" konserwatyzmu, p. Jeske-Choińskiego, sprowadzonego do Galicji przez Stanisława Henryka hr. Badeniego, nieudanego syna marszałka krajowego.

Młody hr. Badeni chciał koniecznie być czymś, i, po namyśle, postanowił stać się obrońcą katolicyzmu w Galicji i wejść w ślady swojego stryja księdza.

Hr. Stanisław Henryk Badeni zapomniał widocznie o istnieniu jezuickiego *Przeglądu Powszechnego*, który jest przecież kompetentniejszy w sprawach katolicyzmu od pana Jeske Choińskiego.

Niektórzy twierdzą, że syn marszałka jest tak przewidujący, że chce przypodobać się przyszłemu cesarzowi austryjackiemu, a obecnemu następcy tronu, znanemu z sympatji do stronnictw i kół katolickich.

Marszałek Badeni jest konserwatystą, zdolnym jednak do ustępstw, sprężystym administratorem i zwolennikiem równouprawnienia Rusnów z Polakami. Jest religijny, a może nawet klerykalny, nigdy jednak nie występował jako agitator katolicki. Syn jego rozpoczął swoją karjerę od założenia klerykalnego stowarzyszenia im. Piotra Skargi, „zwalczającego" współczesne prądy umysłowe.

Kronika Powszechna znajdzie trochę czytelników wśród arystokracji i kołtunerji lwowskiej oraz oficjalistów hrabiów Badenich.

W sejmie mieliśmy znowu dyskusję w kwestji rusińskiej. Niektóre pisma podniosły zwycięztwo prezesa Koła, Głąbińskiego, nad Rusinami w polemice w sejmie.

Nadmienić należy, że duskusja rusińska dotyczyła tylko niektórych spraw. Prezesowi Głąbińskiemu nie trudno było wykazać, że w szkolnictwie ludowym Rusinom krzywda się nie dzieje, i że sejm, subwencjonując pewne instytucje gospodarcze pozbawione charakteru narodowego, nie działa wyłącznie na korzyść Polaków. Z tego wszystkiego nie wynika jednak, aby Rusini nie mieli powodu żalić się na brak uniwersytetu, na niedostateczną ilość gimnazjów, na sprzeciwianie się Polaków podziałowi Rady Szkolnej Krajowej na polską i rusińską.

Klub reformy w lwowskiej Radzie miejskiej rozpoczął szerszą akcję w stolicy kraju i na prowincji, omawiając różne żywotne sprawy na zgromadzeniach publicznych. Akcja ta, na prowincji zwłaszcza, przynieść może dużo korzyści i stać się punktem wyjścia zorganizowania demokracji miejskiej. Należałoby jednak aby wspomniany wyżej klub przystąpił rzeczywiście do pracy organizacyjnej, i aby również zajął sie kwestją rusińską, mającą pierwszorzędne znaczenie dla kraju. Frazes, że moment nie jest po temu odpowiedni, że należy czekać aż do chwili, kiedy w stosunkach polsko-rusińskich zapanuje nastrój przyjaźniejszy niż obecnie — nie wytrzymuje krytyki dlatego, że stosunki powyższe nie poprawią się, póki Polacy, jako strona silniejsza nie okażą dobrej woli Rusinom i nie poprą słusznych ich żądań.

Demokracja polska powinna przedewszystkim szczerze i wyraźnie poprzeć żądanie Rusinów posiadania własnego uniwersytetu. Urzeczywistnienie tego żądania przynieść może korzyść dużą obu narodom.

Zdaje się, że jesteśmy w przededniu reformy wyborczej do Rady miejskiej we Lwowie.

Obecnie jest 100 radnych, prawo głosowania posiadają obywatele odpowiadający warunkom umiarkowanego cenzusu. [1]) Żywioły demokratyczne, a przedewszystkim socjaliści, domagają się czteroprzymiotnikowego prawa głosowania do Rady miejskiej. Obecnie reforma taka nie ma widoków realizacji. W ostatnich czasach wyłonił się nowy projekt kompromisowy. Liczba radnych ma być zwiększona do 110. Stu radnych mają wybierać ci wszyscy, co opłacają jakikolwiek podatek choćby najniższy, dziesięciu pozostałych wybierać mają wszyscy.

Kobiety uzyskałyby czynne prawo wyborcze, nie mogłyby jednak być wybierane.

Reforma ta, choć nieodpowiadająca najsłuszniejszym wymaganiom, byłaby niezawodnie znacznym krokiem naprzód i umożliwiałaby w przysyłości zaprowadzenie czteroprzymiotnikowego prawa głosowania bez różnicy płci z czynnym i biernym prawem wyborczym dla kobiet.

Lwów uczcił należycie wielką naszą poetkę. Objawem bardzo sympatycznym było to, że Rusini należący nawet do partji nacjonalistycznej złożyli także hołd Wielkiej Zmarłej. Jest to fakt znamienny, dowodzi bowiem, że porozumienie z Rusinami jest możliwe na gruncie idei szczerze demokratycznych i postępowych.

Ludwik Kulczycki.

NA DOBIE.

„Milcz, chamie!"

Zajadła kampanja ze strony zachowawców przeciw *Zaraniu* wywołała ostatnimi czasy szereg wystąpień, z których zdaliśmy sprawę na łamach naszego pisma. Kiedy redaktor *Zarania*, pozwany w szranki *Słowa* przypomniał znamienny incydent w Sejmie lwowskim, gdzie posłowi Bojce rzucono z prawicy apostrofę, widniejące powyżej w nagłówku, publicyści *Słowa* skarżyli się bardzo na „demagogję" p. Malinowskiego, ale umilkli,

Natomiast podniosła głos *Gazeta Warszawska*, aby z właściwym sobie cynizmem oświadczyć, że *Zaranie* i ludzie koło niego stojący podjęli zaniechaną przez komisarzy włościańskich politykę zwrócenia ludu przeciw warstwom inteligentnym, przeciw panom i księżom",

Polecamy tę próbkę istotnej i bardzo taniej demagogji uwadze publicystów *Słowa*, którzy lubią stać na straży cudzego honoru.

Gazecie zaś *Warszawskiej* musimy przypomnieć, że nie zawsze stronnictwo D.-N, kierowało się *odwrotną* do sfer rządowych inspiracją, bo był czas, kiedy usiłowało sfery te *wyręczać* w tłumieniu „ruchów wolnościowych" w naszym kraju, której to oferty p. Witte, ówczesny prezes rady ministrów, przyjąć nie raczył.

Zatym, na szpaltach *Gazety* zarzut powyżej cytowany jest nietylko stylową demagogją, nietylko świadomym oszczerstwem, ale i aktem niezwykłej czelności.

„Lud nasz — oznajmia w dalszym ciągu organ p. Dmowskiego — nie potrzebuje walczyć o swe pra-

[1]) O obecnie obowiązującej ustawie napiszę szczegółowo w jednym z następnych listów.

wa i o uszanowanie dla siebie z własnem społeczeństwem, bo praw tych nikt mu nie zaprzecza, a szacunek ma powszechny".

Czy tak? Otwieramy tom IV-ty *Chłopów* Reymonta na str. 279. Niepospolity znawca ludu taki kładzie djalog w usta młodego dziedzica i Antka ze wsi, który „wracał do różnych chłopskich bolączek, wyrzekając ciągiem na ciemnotę i opuszczenie, w jakiem naród żyję".

— A bo nikogo nie słuchają! Wiem przecież, jak księża pracują nad nimi, jak nawołują do pracy, ale to wszystko groch na ścianę.

— Hale, kazaniem tyle pomoże, co umarłemu kadzidłem.

— Więc czemże? Zmądrzałeś, widzę, w kryminale — rzucił z przekąsem. aż Antek poczerwieniał, łypnął ślepiami, ale odrzekł spokojnie:

— A zmądrzałem, bo wiem, że wszystkiemu złemu winni panowie.

— Duby smalone pleciesz, a cóż ci to złego zrobili?

— A to, że za polskich czasów tyle jeno dbali o naród. żeby go batem popędzać a ciemiężyć, a sami se tak balowali, jaże i przebalowali cały naród, że tera wszystko trza zaczynać od początku, na nowo.

Dziedzic, że to był prędki, ozgniewał się i krzyknął:

A wara ci, chamie jeden, do tego, co panowie robili, pilnuj lepiej gnoju i wideł, rozumiesz! A język trzymaj za zębami, by ci go nie przycięli!

Swisnął szpicrutą i pognał, jaże w klaczy zagrała wątroba.

Antek zaś poszedł w swoją stronę, a również zły i wzburzony.

— Psie nasienie! — mamrotał gniewnie. —

Jaśnie pany, psiekrwie! Jak mu było potrza chłopskiej łaski, to z każdym się bratał. Ścierwo! Sam nie wart i wszy pieczonej, a drugich przezywa od chamów!...

. . . .

Socjologiczne podstawy macochizmu.

Zbrodnia na Jasnej Górze dała pochop niektórym organom opinji do bardzo zuchwałych uogólnień. *Młot*, organ warszawskich nieprzejednańców, znajduje oczywiście, że to co się stało w Częstochowie „jest przyczynkiem do obrazu powszechnej zgnilizny i zgangrenowania klas panujących". Fakt, że Damazy Macoch jest z pochodzenia chłopem, nie ma oczywiście znaczenia dla ludzi, co gotowi są nawet kometę Halley'a traktować z klasowego punktu widzenia.

Ciekawszy jest pogląd *Gazety Warszawskiej*, tej samej, co to przed czterema laty wmawiała naszemu społeczeństwu niezwykłą wytrawność tudzież heroiczne cnoty (wtedy ogół leżał plackiem przed endecją), a dziś pomawia go zgryźliwie i ryczałtem niemal o uczestnictwo w zbrodni Macocha, co nawet wywołało replikę ze strony *Kurjera Warszawskiego.* Ten ostatni nic nie wytyka, nikogo nie oskarża;, lejąc ze swych szpalt kojącą wazelinę, zaprasza szerokie sfery inteligiencji do pielgrzymki na Jasną Górę, co jest bezsprzecznie dobrym pomysłem, zważywszy na sensacyjne atrakcje, w jakie klasztor obecnie obfituje.

Ale żart na stronę. Raz na zawsze ustalić należy, że trójka hultajskich mnichów narodu polskiego nie kompromituje, bo go nie uosabia; zamiast niesumiennych i niemądrych uogólnień, trzeba określić istotę *macochizmu*, jako zjawiska, które posiada swoje stałe, socjologiczne podstawy.

Istotę tego zjawiska jest *przywilej* i *nieodpowiedzialność.* Kiedy europejczyk, Belg albo Francuz, w ojczyźnie potulny wobec prawa i grzeczny dla swych ziomków, dostaje się jako urzędnik gdzieś do kolonji egzotycznych, z prawem życia i śmierci nad murzynami — wówczas ten jowjalny brukselczyk czy paryżanin wytworny potrafi rabować, mordować, gwałcić z obojętnością i precyzją urodzonego zbrodniarza. Nic tak ludzi nie deprawuje, jak bezkarnosć, jak władztwo nieograniczone. Damazy Macoch, pisarz gminny, poprzestał by zapewne na wymuszaniu drobnych datków od chłopskiej klijenteli; ale kiedy ten sam Damazy Macoch oblekł się w sutannę, poczuł się nieograniczonym władcą dusz, przedmiotem kornej czci, kiedy się polała mu przez palce rzeka złota, płynąca bez kontroli — wówczas ten prostak bezbarwny popadł w szał... z którego ocknął się dopiero za kratą.

Macochizm jest bezpośrednim i prostym skutkiem wszechwładzy kleru — oto wyłączny uogólniający wniosek, jaki z tej sprawy wysnuć można i należy.

Vox populi.

Zanim kręgi wzburzenia, idące dziś od Jasnej Góry, powrócą od najdalszych kresów Polski — dzień każdy niesie nam dowody, że lud przejrzał na obadwa oczy, co znów kler katolicki odczuje dotkliwie na własnej kieszeni. Niech się uspokoją gorliwcy: *wiara* nic na tem nie nie ucierpi, a naród polski zyskać może poważnie.

Vox populi różnymi do nas dochodzi drogami... Oto na opasce przesyłki pocztowej, którą otrzymaliśmy niedawno, ręka niewprawna listonosza skreśliła następujący aforyzm: *„Czas już, żeby nietylko lud nasz, lecz i księża przyszli do tego przekonania, że Panu Bogu pieniądze nie są potrzebne".*

Kobiety i prawo wyborcze w Galicji.

O prawo wyborcze do sejmu dopominają się kobiety w Galicji od lat już kilku. Przy zmianie ordynacji wyborczej mogłyby bowiem utracić głosy nawet te uprzywilejowane właścicielki dóbr, które w kurji większej własności mogą dziś głosować przez zastępców. Przywilej ten zaś stanowi już prawny precedens, który przy uchwalaniu reformy może zaważyć, o ile kobiety potrafią go zużytkować. Od nieśmiałych początków, które znalazły wyraz na Zjeździe kobiet polskich w Krakowie w 1905 r. sprawa posuwa się szybkim krokiem naprzód. Inicjatywa jednostek takich jak p. Dulębianka, której kandydatura umiała zjednać sobie 500 głosów, wywołała akcję stowarzyszeń. Kiedy w 1905 r. pojechała w delegacji jedna tylko p. Marja Turzyma, to obecnie 12 b. m. na wezwanie Związków kobiecych, zgromadziło się w gmachu sejmowym kilka setek kobiet. W zgodnym szeregu wystąpiły stowarzyszenia polskie: Związki Równouprawnienia kobiet ze Lwowa i Krakowa, Zjednoczenie Studentek, Tow. Opieki nad sługami i robotnicami we Lwowie, Ognisko kobiet z Żinoczej Hromadoj, aby żądać czteroprzymiotnikowego prawa głosowania bez różnicy płci. Imieniem wszystkich kobiet przemówiła hr. Pelagja Skarbkówna, a po niej imieniem Rusinek p. Bilecna, hucułka w barwnym narodowym stroju, p. Reizesówna ze stronnictwa socjalno demokratycznego, oraz p. Soblówna imieniem studentek. Przemawiały również delegatki z Krakowa, Chyrowa i Stanisławowa. Ten rzadko w stosunkach galicyjskich spotykany zespół wszystkich kierunków społecznych, pomimo ubolewań *Słowa polskiego*, które, jak zawsze, chciałoby wyodrębniać i waśnić, za wielką zasługę ruchu kobiecego poczytać należy. W odpowiedzi marszałka hr. Badeniego odbiła się też powaga chwili. Zaświadczył on, że wszystkie stronnictwa godzą się, iż kobietom należą się równe z mężczyznami prawa wyborcze i jak zwykle zalecił cierpliwość. Demonstracja zakończyła się przed sejmem przemówieniem posła Wityka i jednej z kobiet, która stwierdziła, że skoro kobiety skazane są na tę samą „cierpliwość", co robotnicy, powinny przeto pospołu z nimi występować.

Podręczniki szkolne.

Jak wiadomo, podręczniki szkolne muszą zawsze przejść przez aprobatę władz ministerjalnych, inaczej nie mają wstępu do szkół. Ale ta aprobata bynajmniej nie oznacza miary wartości danego podręcznika. Zależy to bowiem najczęściej od mniejszego lub większego ustosunkowania autora-pedagoga lub od jego ideałów i programów pedagogiczno-politycznych. W ten właśnie sposób zapanowała na długie lata w szkołach osławiona historja Iłowajskiego. Obecnie wpadł nam w ręce zaaprobowany dla początkowych szkół polskich podręcznik geografji, napisany przez p. Kowalewskiego (dziewiąte wydanie Jurewicza r. 1909). Cała Rosja jest podzielona na „kraje" (bynajmniej nie autonomiczne), więc oczywiście nie jest także pominięty „Priwiślinskij kraj", a nim Chełm (Chołm), jako *drewnij ruskij gorod*. Ale najciekawsze jest to, że w opisie formy rządu państwa rosyjskiego niema najmniejszej wzmianki o Dumie, pomimo, że podręcznik wydany w r. 1908. Oprócz Monarchy, są tam wymienione tylko ministerja i Rada państwa. Widocznie światły autor podręcznika uważał, iż zdradzenie przed dziatwą istnienia Dumy nawet z większością Puriszkiewiczów i ordynacją wyborczą według systemu Tołmaczowa, byłoby agitacją rewolucyjną.

BADANIA NAUKOWE.

W dziedzinie ludzkiej pracy umysłowej.

Notatka bibljograficzna.[1])

Choćbyśmy w jak najoględniejszą głębię przeszłości odsuwali początek Dziejów; choćbyśmy, nie mówiąc już o greckich i rzymskich, dzieje żydów, sięgające w każdym razie końca II tysiącolecia przed erą naszą, jako stosunkowo późniejsze, pominęli, a z nimi i assyryjskie i babilońskie, jeszcze o tysiąc i dwa od tych wcześniejsze, a zatrzymali się na początkowych Egiptu, sięgających czterech tysięcy lat w tą przeszłość, — to jednakże wszędzie i w każdym czasie, we wszystkich krajach, objętych naszym cyklem dziejowym, i w każdym okresie dziejów, u wszystkich ludów, w tych krajach przebywających, i w każdej dobie życia tych ludów, znajdujemy bogów krajowych, czy też narodowych, w wyrobionej już przed wiekami i przez wieki postaci, oraz odpowiednie, na wierze w nich oparte obrzędy i urządzenia religijne. I, co więcej, ta postać bogów, w której dopiero ich poznajemy, nie będzie też wcale tak wielce różną od tej, w jakiej tychże samych bogów żegnamy przed ich zupełnym zniknięciem; te urządzenia nie zmienią wcale zasadniczego swego charakteru, który wszędzie w jednaki sposób uwydatniać się, pomimo pozornych różnic, pocznie i zawsze uwydatniać się będzie. Więc, w zakresie Dziejów, choćby jak najdalej w przeszłość cofniętych, nie sięgniemy czasów powstawania bogów w pojęciach ludzkich, z powstawaniem zaś tych pojęć początków religji.

Początek ów nastąpił, gdy człowiek przeniósł na świat duchów, którymi się czuł zewsząd otoczonym, stosunki społeczne, gdy z biegiem czasu, wskutek własnego rozwoju społecznego, i wśród nich upatrywać począł wodzów, naczelników i królów, których władzę na sobie doświadczał. To przeniesienie stosunków ludzkich na istniejący tylko w wyobraźni świat duchów, to upatrywanie i w nim, na wzór stosunków ludzkich, istot rządzących, aczkolwiek było zupełnie naturalnym, leżało zarówno w interesie kapłanów, jak i samej władzy. Poczęło się więc szybko, gładko, bez przeszkód. Do jakich zaś doprowadziło rezultatów, dowodzą Dzieje obecne Europy i pod jej wpływem i przewodnictwem innych części świata, wchodzących do naszego cyklu dziejowego.

Niestety! Rozwój społeczny poprzedza zawsze umysłowy i odbywa się, co gorzej jeszcze, od niego zupełnie niezależnie. Urządzenia państwowe i na nich oparte religijne (choć przyjęto odwrotny porządek przy ich rozważaniu), stosunki administracyjne i stanowe tak się zwykle układają, że umysł, gdy rozbudzony i wzmocniony weźmie się do pracy, a rozpocznie właściwe mu badania rzeczy, staje już wobec faktów dokonanych i ustalonego porządku politycznego i religijnego, nieznoszącego już żadnych ulepszeń, poprawek, zmian, a nawet sądów niezależnych. Pierwej pokazała się władza i nią opiekujący się, ją zsyłający i podtrzymujący bogowie, nim człowiek oprzytomnieć zdołał i zapytać siebie, skądże to się jedno i drugie wzięło, oraz wytłumaczyć sobie naturalne jednego i drugiego powstanie. Powstanie zaś silnej władzy wśród ludzi odbiło się koniecznością takiej władzy wśród bogów. Odczuta na sobie i doświadczana hierarchja społeczna wywołała odpowiednią hierarchję i w świecie niewidzialnym.

Wykazane poprzednio cechy zasadnicze wszystkich religji pozwoliły wytworzyć porównawczą historję religji. Porównawcza zaś ta historja doprowadziła do powstania nauki religji, jako umiejętności odrębnej, specjalnej, mającej swój wyłączny i wytknięty przedmiot w rozwoju dotychczasowym tak zwanej ludzkości; jako umiejętności jednej z realniejszych i ważniejszych, prowadzących bezpośrednio do odsłonięcia i zrozumienia przeszłości ludzi na naszej Ziemi.

Z nauk powstałych, lub na nowe drogi wprowadzanych, w zeszłym stuleciu może największy, gdyż do nieprzewidywanych i niespodziewanych wyników doprowadzający, uczyniła postęp właśnie umiejętność religji. Łatwo się o tym przekonamy, gdy poznamy ostatnie prace z jej zakresu.

I.

Z trzech Rejnachów chlubnie znanych w naukowym piśmiennictwie francuskim największą powagę uzyskał Salomon, autor dzieła pod tytułem: *Orpheus, Histoire générale des religions*. W roku zeszłym już w 9-tym wyszło ono wydaniu. W małej dwunastce o sześciuset z czymś stronicach druku zawiera ono jak głosi tytuł, historję ogólną religji od pierwotnego animizmu do ostatnich encyklik papieża Piusa X.

I. By poznać charakter dzieła, a zarazem to, co możemy nazwać zasadniczymi pojęciami religijnymi, zatrzymamy się na pierwszych kilku wstępnych stronicach *Wstępu* (*Introduction. L'Origine des Religions. Définitions et Phénomènes generaux*). Tłu-

[1]) Zamieszkawszy od lat czterdziestu paru w Warszawie, by móc, w miarę swych sił umysłowych i uzdolnienia, pracować nad nauką, musiałem przedewszystkiem z konieczności tworzyć choć stosownie do marnych środków materjalnych, własną swą bibljotekę. Składają ją dzieła bardzo rozmaitej treści. W swych pracach bowiem sięgałem w *przeszłości* człowieka pierwotnego; w *teraźniejszości* zatrzymywałem się na Deklaracji prawa Człowieka i powstawaniu nowych nauk kilku. Przed laty trzema lichy stan zdrowia pozwolił mi liczyć tylko czas przed sobą zaledwie na tygodnie. Kończyłem przeto rozpoczęte poprzednio prace, zadawalniając się książkami, które już miałem pod ręką, na nie zebranymi. Obecnie polepszenie zdrowia zachęca mię do przedsięwzięcia nowych. Odnowiłem zatym swą bibljotekę kilkudziesięciu najnowszymi dziełami Wśród nich znajdują się takie, z których treścią, a zresztą choćby tylko z tytułami, sumienie naukowe i społeczne nakazuje mi poznajomić szersze, niż osobistych znajomych, koło czytelników.

Powstaje więc ta notatka.

maczę je, tylko z małymi opuszczeniami koniecznymi, zachowując podział treści na paragrafy, wprowadzony przez autora.

1. Częstokroć łączą, zwłaszcza w mowie pospolitej, religję i mytologję. Skoro ja rozprawiam, na przykład, o religji greckiej, zeznaję, że budzę wspomnienia o bajkach bądź ponętnych, bądź też brutalnych, jakie greccy poeci opowiadali o swoich bogach, boginiach, bohaterach. Te mimowolne łączenia mają swoje podstawy i swoje usprawiedliwienie, ponieważ istnieją religje wzrosłe na mitologji. Kiedy atoli stajemy na gruncie naukowym, należy tego łączenia unikać.

2. Mitologja jest to zbiór historyjek nieprawdziwych, wszelako niewymyślonych przez pojedynczych ludzi, przez nich wszakże ułożonych a upiększonych do woli. W tych opowiadaniach treść i osoby wymykają się z pod wszelkiej kontroli, opartej na gruncie rzeczywiście dziejowym. Religja przedewszystkim jest uczuciem, oraz wyrażaniem tego uczucia za pomocą czynów wyłącznie swoistych, nazywanych obrzędami.

4. Powstaćby mogło całe dzieło odrębne, gdyby kto zapragnął wyliczyć i rozważyć wszelkie określenia religji, przez współczesnych mędrców podawane. „Religja, twierdzi Schleiermacher, polega na poczuciu naszej bezwzględnej zależności". „Religja, mówi Feuerbach, jest to nasze życzenie, wyrażane w modłach, ofiarach i wierzeniach". Kant upatrywał w religji „poczucie swoich obowiązków, o ile one są oparte na przykazaniach boskich". „Religja, uczy z kolei Maks Müller, jest to własność umysłu, który, niezależnie od zmysłów i rozumu, dostarcza człowiekowi możność obejmowania nieskończoności." Bardziej skromnie, wielki etnograf angielski, Tylor, podaje jako *minima* określenia wyrazu religja, „wierzenia w istoty duchowe". Bezspornie pierwszy, M. J. Guyau, w 1887 r. wprowadził do określenia co to jest religja, żywioł istotny, we wszelkich religjach, mianowicie społeczny: „Religja, twierdzi on, jest to *sociomorphisme* uniwersalny... Uczucie religijne to poczucie zależności, w stosunku do potęgi *woli*, jaką człowiek pierwotny upatrywał we wszechświecie". Ze wszystkich przytoczonych określeń to jest bezspornie najlepszym...

5 ...ja (powiada, pamiętajmy, autor) przedstawiam następne określenie religji: *„ogół skrupułów, wstrzymujących swobodny rozwój naszych właściwości"*.

6. To określenie jest brzemienne w następstwa, albowiem wyklucza z pojęcia zasadniczego religji, Boga, istoty duchowe. nieskończoność, jednym słowem to wszystko, co weszlo we zwyczaj uważania za przedmiot właściwy uczuć religijnych...

7. Wyraz *skrupuł* ma tę złą stronę, że jest zbyt niedokładny. Mamy skrupuł mówić głośno przy zwłokach w pokoju zmarłego i zarówno — wejść z parasolem do salonu. Skrupuły, o których mowa w przedstawionym określeniu, są w swej istocie zupełnie odwieczne. Chętnie, idąc za wzorem wielu antropologów, nazwałbym je *tabu*. Wyraz to *polinezyjski*. Zdobył atoli prawa obywatelskie w języku etnografów i nawet filozofów.

8. *Tabu* w językach polinezyjskich oznacza, mówiąc dosłownie, to co jest wyjęte z używania powszechnego. Drzewo, którego ani dotknąć ani zrąbać nie można jest *tabu*. Mówią też *tabu* drzewa, dla oznaczenia tego skrupułu, który powstrzymuje człowieka od dotknięcia się do niego lub zrąbania. Ten skrupuł nie jest wcale oparty na względach praktycznej natury, jakąby była w danym przykładzie obawa zranienia się lub innego uszkodzenia sobie. Cechą wybitną *tabu* jest *zakaz* nieumotywowany i kara zaś przewidywana w razie zgwałcenia *tabu* nie podlega przepisom kodeksu karnego, lecz grozi jako klęska gwałcicielowi, naprzykład, jako ślepota, nawet śmierć.

9. Wyraz jest polinezyjski, lecz pojęcie, które wyraża, jest nam dobrze znane, zwłaszcza w krajach, gdzie nie oduczono się czytywać Biblji. Na początku tej księgi Jehowa ostrzega Adama, że on nie ma pożywać owoców pewnego drzewa pod karą śmierci. Ten zakaz jest charakterystycznym *tabu*. Jehowa bowiem nie wyjaśnia Adamowi dlaczego on to nie ma pożywać owocu z tego mianowicie drzewa...

11. Pojęcie *tabu* jest najbardziej ważnym ze wszystkich tych pojęć, z którymi obeznała nas etnografja w XIX wieku. Przejście od *tabu* do zakazu motywowanego, rozumowego i rozumnego — to prawie całkowita historja postępu umysłowego ludzkości...

13. Możemy twierdzić śmiało, że dzieci i dzicy są animiści, to jest, że przenoszą na zewnątrz wolę, którą poczuwają w sobie, która w nich działa; że zaludniają świat, zwłaszcza rzeczy i przedmioty, które ich otaczają, istotami posiadającymi życie i uczucia do ich podobnymi:

16. *Animizm* z jednej strony, *tabu* — z drugiej są to części składowe religji... Jehowa skał i obłoków Sinai — jest płodem animizmu. Dekalog — pozostałość starego kodeksu *tabu* ..

27. Wymienione części składowe nie stanowią jeszcze wszystkich. Nadto są dwie inne, chociaż mniej pierwotne, tym nie mniej ważne w swych skutkach, dla tworzenia całości nieodzowne. Są to *totemizm* i *magja*.

28. Wyjaśnić w słowach niewielu co to jest *totemizm*, bardzo trudno. Przedewszystkim na wstępie rzec można tak: jest to rodzaj czci, przechodzącej w kult ze wszystkimi jego objawami następnymi, oddawanej zwierzętom i roślinom, poczytywanym za opiekunów ludzi i spokrewnionych z nimi...

36. Oto jawny przykład pozostałości *totemizmu* w Szwajcarji. Miasto Bern z czasów niepamiętnych utrzymuje niedźwiedzi. Opowiadają, w celu objaśnienia tego zwyczaju, o wielkim niedźwiedziu zabitym w IX wieki przez myśliwego, którego nawet imię przechowują. Ta opowieść, jak i wiele innych baśni starożytnych, została ułożona w celu objaśnienia zarazem nazwy miasta (Bär = niedźwiedź po niemiecku) i czci berneńczyków dla niedźwiedzia. W rzeczywistości, przyczyna takiego stosunku ludzi do niedźwiedzia jest bardziej odległa. Wykrył ją przypadek. Tuż pod Bernem odnaleziono grupę bronzową, pochodzą z I lub II wieku naszej ery. Przedstawia ona ogromnego niedźwiedzia, zbliżającego się do siedzącej bogini, w celu złożenia jej hołdu. Napis wyjaśnia, że to jest *ex — voto* dla bogini *Artio*. Wyraz *artio* jest celtycki, zbliżony do greckiego *arktos* i oznacza *niedźwiedź*. Bogini *Artio* była więc boginią powstałą z kultu niedźwiedzia, mającą z czasem za towarzysza niedźwiedzia, nakoniec za symbol. Przed okresem przeto bóstw w postaciach ludzkich, Artio była boginią niedźwiedzicą, świętym niedźwiedziem. Pamięć kultu niedźwiedzia utrzymała się w nazwie miasta i w jego zwyczajach wzmiankowanych...

48. Dzięki magji człowiek występuje jako zwycięzca do przyrody. Stosunek poprzedni do niej bierny, zmienia się w czynny, zaczepny. Staje się on dyrektorem orkiestry w wielkim koncercie duchów, brzęczących mu nad uchem...

49. Skoro tylko magja stała się już raz czynnością specjalną, profesją, konieczną dla dobrobytu społecznego, należało, żeby magik natężał wszystkie swe siły, w celu zdobycia uznania dla swych praktyk, lęku przed swą potęgą. Szarlatan staje się astrologiem, medykiem, metalurgiem i, jak następnie astrolog i alchemik w wiekach średnich, zwiększa kapitał ludzki, składający się z wynalazków pożytecznych, który nawet i jego zrobiły pożytecznym dla ogółu. Mógłbym dowieść (pamiętajmy, mówi zawsze autor), że wszystkie wielkie wynalazki ludzkości pierwotnej, nie wyłą-

czając nawet ognia, powstały pod opieką religji w nieustannej pracy magików... W taki sposób, i to jest istotną zdobyczą naszych badań, początki religji zlewają się z początkami myśli ludzkiej, łączą się z działalnością umysłową ludzi. Upadek religji lub jej ograniczenia stanowią historję postępu, który ona uczyniła możebnym.

50. Religje nie są to, jak utrzymywał Voltaire i bliższi do nas w czasie, taki Karol Vogt i Morlillet, wrzodem zaszczepionym na organizmie społecznym przez pożądliwość i oszukaństwa, lecz samo życie społeczne. Z biegiem czasu religja dała początek wielu specjalnym umiejętnościom ludzkim. Nauki ścisłe, moralność, prawo, rozwinęły się pod jej opieką, chociaż ten ich rozwój nastąpił jej kosztem.

W naszych oczach zbiór *tabu* zmierza stać się kodeksem praw rozumowanych i rozumnych. Animizm traci grunt, zdobywany na nim przez fizykę, chemję, astronomję i chroni się w zakątkach nauk, w spirytyzmie. Nakoniec magja, której rola jest tak wielka w rozmaitych obrzędach, traci swój pierwotny charakter, te obrzędy zaś stają się symbolami, jak ko munja, w kościołach chrześcijańskich reformowanych.

(d. n.). *I. Radliński.*

LITERATURA i SZTUKA.

Szlakiem pielgrzymstwa

Wacław Sieroszewski: **Z fali na falę**. Kraków. Spółka nakładowa „Książka". 1910.

Szły niegdyś w żelazo zakute zastępy wiernych, przez lądy i morza, ażeby na Ziemi Świętej złożyć hołd u grobu Cnoty: dzisiaj serca wrażliwe pielgrzymują po świecie, aby zaczerpnąć tchu nieskończoności u kołyski Piękna A piękno tryska zewsząd, gdziekolwiek duch, zapalony tęsknotą, walczy o podbój nowych sfer rzeczywistości dla uczuć i dla myśli, rozsuwając w dal granice miłości i poznania.

Zmieniła się wartość ideałów, ale rozkosze i męki pragnienia pozostały te same.

Kochano niegdyś tęsknotę, bo wiodła do ziszczenia ideału i zwracała się po przez śmierć ku wieczności: dzisiaj kochamy ideały za to, że pozwalają nam tęsknić bezkreśnie i w każdy moment wysiłku wtapiać nieskończoność dążenia. Do wnętrza duszy przeniosły się źródła ocen i miary wartości. Na szare pustynie bytu z głębiny serc biją fale świateł żywych i gorących, ubierając przedmioty nagie w kolory umiłowania lub nienawiści, w szaty nadziei, marzenia lub zgrozy.

Cóż, że na dnie świadomości tkwi ból wiecznie czujny, nieugięty i nieprzejednany? Błogosławiony jest ból i smutek życia, jeśli rodzą się zeń świeże formy twórczości, jeśli duch ogarnia przezeń i zdobywa nowe dziedziny zadań, strzelając w przyszłość promieniami nowego posłannictwa!

Cierpienie jedyną jest rzeczywistością dla serca, ale siła twórcza tego cierpienia nie zna granic żadnych. Potrafi ono wyłonić ze siebie całe światy rozkoszy, spowite obłokami upojeń, oblane zorzą ekstazy.

Owa twórcza cudowna potęga serca, potęga twórczych przeistoczeń, tkwiąca w cierpieniu jest ukrytą podziemną melodją całej działalności pisarskiej Sieroszewskiego. Działalność ta stanie się kiedyś jedną z napiękniejszych kart ducha polskiego. Stanie kiedyś w szeregu najszczytniejszych jego natchnień, — tam, gdzie śród ogni ofiarnych dokonywa się misterjum przeobrażeń losowych narodu, gdzie białe widmo Anhellego strzeże ciszy mogił, zawianych śniegiem, gdzie posępny cień Irydjona błądzi śród ruin ojczyzny, przekazując wiekom słowa swej strasznej przysięgi.

Już niemal sto lat mija, jak ziemia Sybirska stała się olbrzymią historji naszej łzawnicą. Pokolenie za pokoleniem przelewa wiernie daninę łez i krwi w lodowe i nieme jej łono. Pokolenie za pokoleniem zaludniało jej głuche niezmierzone obszary upiorami rozpaczy, szału, poświęcenia i wiary. Umarli żyli tam pospołu z żywymi. Śmierć stała się współcześniczką życia. Każda trumna stawała się zaklęciem modlitwy, każdy szczątek śmiertelny był pomnikiem sumienia.

Powoli, rok po roku dorzucając nowe szańce ofiar, obejmował duch polski tę niedostępną cmentarną krainę w wieczyste swoje posiadanie. Przemierzył ją wszerz i wzdłuż bosymi stopami skazańców; płomieniem łez, trawiących jak fale pożaru, przepalał martwą odwieczną jej powłokę, piersią gorącą przypadł do jej piersi lodowej, oddechem szukając oddechu i sercem doszukując się serca, aż nagle, pod ciężarem dziejowego bólu, pod ogniem ran piekących, stajała ogrzana krwią tajga Sybirska, drgnęła ruchem głębokim jak wzburzony ocean i, po raz pierwszy, w tajemnej spowiedzi zwierzyła ogrom swej niedoli — wygnańcowi polskiemu.

Po raz pierwszy przemówiła w utworach Sieroszewskiego samowiedzą swej duszy. Odsłoniła jego oczom *dno nędzy* okropniejszej niż śmierć i niż zaraza, gdyż zawierającej jakieś poddańcze, nieludzko potworne oswojenie się z nimi obiema.

W polskiej mowie rozległ się pierwszy ponury jęk tej ziemi. Od krzywdy polskiej, polskiego bólu i polskiej tęsknoty uczyły się wyrazu prastare, dotąd nieme i nieznane nikomu jej skargi. Odwieczne puszcze podbiegunowe zaszumiały tęsknicą borów nadwiślańskich, biorąc na pochylone czoła zadumę wspomnień, krwawych jak łuna, ciężkich jak żal, dalekich jak ojczyzna.

Rozsunęły się w niezmiar zagony pielgrzymstwa polskiego, zatykając na dzikiej glebie Jakuckiej sztandary człowieczeństwa i wolności, a w duszy piastując stokroć nad tamte droższy sztandar cierpienia za ludzkość. Od bohaterskich wojen Kościuszki w Ameryce, po przez niezliczone pobojowiska Europy wije się szlak świetlany, aż po tundry Azjatyckie. Znaczą go słupy spiżowe czynów i pochodnie apostolstwa, zaprzysiężonego wiecznej służbie ideałów wszechludzkich.

Na linji owego szlaku stoi także działalność twórcza Sieroszewskiego.

Pisma jego wyrosły z głębokiej miazgi wewnętrznej najszlachetniejszych tradycji polskich. Poczęte z doświadczeń, leżących poza kręgiem naszego bytu społecznego, osnute dokoła przeżyć i wrażeń z obcej nam półkuli, poprzerastane rusycyzmami, egzotyczne w akcji i w wyrazie, w swej tajemnej głębi dochowały jednakże wiary przykazaniom stuletniej ewangielji ducha polskiego.

Stąd płynie uroczysta, posłannicza powaga tych pism i religijna ich niemal, pełna donioslości, prostota.

* * *

Na wyjątkowe stanowisko twórczości Sieroszewskiego niejednokrotnie zwracała uwagę krytyka literacka. Zazwyczaj wszakże podkreślano wyłącznie jej wartość psychologiczną, lub etnograficzną, podziwiając w autorze ową badawczą przenikliwość, z jaką umiał w piersi Tunguza, Chińczyka lub Czukczy dostrzec i wyczuć przedewszystkim—duszę Człowieka. Dzięki przedziwnej tej zdolności, będącej promieniowaniem raczej serca niż rozumu, wyniesiono słusznie utwory naszego pisarza ponad wielokolorowe mozajki podróżnicze Loti'ego i chłodno urągliwe opieweści Kiplinga, nie zapominającego nawet śród dżungli Indyjskich o godnym uosabianiu majestatu Wielkiej Brytanji.

Poza tym, w krytyce naszej, wobec autora *Czukczów* niejako w regułę wszedł mdły obowiązek zachwyceń nad urokami krajobrazu. Natura w utworach Sieroszewskiego, zarówno jak u Żeromskiego i Reymonta gra pierwszorzędną rolę; krajobraz, coraz nowy, ciągle inny, ciągle zmienny w swych niepochwytnych odcieniach świateł i barwy, służy im, jako delikatne niesłychanie czujne narzędzie dla oddania najsubtelniejszych, lotnych a niepowrotnych, poruszeń duszy.

Przed oczyma większości krytyków, wszakże, nie otwierają one głębokich perspektyw duchowych, ale, rzekłbyś, bogactwem linji i tonów przesłaniają całkiem pole widzenia wewnętrznego. Nieuleczalna krótkowzroczność sądu nie pozwoliła krytyce dotrzeć do tych fundamentów historycznych, na których wznosi się istotna ideotwórcza wielkość myśli i natchnienia Sieroszewskiego, nie pozwoliła jej dojrzeć ogniwa, wiążącego gmach jego twórczości z łańcuchem odrodzeńczych wysileń i ofiar Polski nowoczesnej.

* * *

Ostatni, świeżo wydany zbiór utworów powieściowych Sieroszewskiego, acz nawskroś przepojony— jak pierś oceanu — słońcem i błękitem, nie odbiega od tła dotychczasowej jego przędzy artystycznej ani postawą myśli, ani barwą wzruszeń. Może powierzchnia wrażeń lśni czystszą pogodą wyrazu, zato w głębi, na dnie serca, boleśniej drga rytmem wieczystym tajona melancholja.

Nieskończenie różny w nastrojach, niewyczerpanie bogaty w odczuciach i charakterach, Sieroszewski utrzymuje skroś najjaskrawsze kontrasty krajów i ludzi swój ton zasadniczy, odrębny i własny. Czy to kreśli słoneczne, rozkwiecone obrazy Japonji „krainy wiecznie drżącego i falującego życia", wstrząsanej od wnętrza ziemi przez niewygasłe ognie wulkanów, czy maluje barwami złota i opalu tułaczą nędzę-poniewierkę wędrowca Polaka („Jak liść jesienny") wszędzie idzie za nim krok w krok ojczysta troska, nieodstępna i niepozbyta, jak ptak, wlokący skrzydła złamane, jak ptak, co rojąc loty w podniebiu, nie może oderwać się od ziemi.

Wszelako niekiedy, jakoby w chwilach przesilenia, burza uczuć łamie się niespodzianie, ukazując za błękitami rąbek anielskiej ciszy. Daleko, pod horyzontem myśli, znikają wówczas groźne wizje Sybiru: noc cicha i gorąca niesie podmuch niewysłowionej tajemnicy z wyżyn Himalayów; gwiaździste niebo ametystowe przegląda się wraz z gwiazdami w ametystowym morzu. Uspokojenie i słodycz schodzi na duszę tułacza-żeglarza: wszystko co nie jest wolne jak przestrzeń i tak łagodne jak fala rozwiewia się w wyobraźni i znika z przed oczu; ruch okrętu roztapia się jakby w błękitnym śnie; wszystkie myśli są jakoby znieruchomiałe. wszystkie stały się szerokie i ogromne jak przestwór: cały ocean przepływa przez nie falami błękitu: płynie fala za falą; jedna drugiej oddaje ciało uśpione wędrowca, jak muszlę, w której zaklęta jest melodja wszechświata...

W górze, po nad snem duszy, płacze noc zwrotnikowa świetlistym płaczem gwiazd...

* * *

Snadź w jednej z takich chwil ukojenia, drogocennych i rzadkich, narodził się w duszy Sieroszewskiego cudny księżycowy obraz, którym zamyka księgę swą, poświęconą ojczyźnie kwitnących wiśni, ognistych chryzantemów i nieustraszonego w boju bohaterstwa.

Autor, opuszczając Nikko, postanowił na odjezdnym odwiedzić w nocy aleję Budd, w czasie, gdy nie groziło mu tam spotkanie natrętnych globtrotterów. „Wymknąłem się, — pisze, — z hotelu niepostrzeżenie, i ostrożnie ciemnymi uliczkami miasteczka podążyłem na dół. Mieszkańcy już kładli się do snu. Nie spotkałem nikogo. raz tylko zatrzymałem się przed małym domkiem z rozsuniętymi ścianami, w którego głębi siedziała na matach młoda Japonka i, cicho nucąc, grała na „samisenie".

„Kwitnąca wiśnia zwieszała tuż nad jej balkonikiem gałęzie srebrne od kwiecia i blasku miesiąca. W dali lśniły wody i ciemniały sady, dachy domów i ściany budowli z koralowymi kropkami ogni w oknach.

„Noc cicha, wonna towarzyszyła mi aż do tłumu kamiennych, w szereg wyciągniętych postaci. Tu dopiero opadł mię ryk ogłuszający potoku. Lecz i on jakoś milknął, cichnął, w miarę jak posuwałem się wzdłuż zadumanych mędrców. Księżyc niejasno kreślił ich zarysy; widziałem jedynie ich kontury, moc niezmierzoną podobnych do siebie głów, ramion, piersi... Jedne patrzały przed siebie w dal niezmierzoną, jakoby nie widząc otoczenia, inne chyliły głowy ku dłoni otwartej lub dzierżącej lotos...

„Ich bezruch, pełen skupionej zadumy, ich podobieństwo wzajemne, ich szereg bez końca, tonący w świetle księżyca, sprawiały na mnie dziwne, przejmujące wrażenie...

„Zdawało się, że nie idę, lecz płynę w jakimś śnie...

„Potok już wcale nie szumiał, cały świat zniknął w zagadce:

— Jaki jest twój początek i koniec?... I na co powstałeś?!

— Powstałem, aby niszczyć w wszechświecie cierpienie! — odszepnęły mi tysiące kamiennych, sfinksowo uśmiechniętych warg".

W. Rzymowski.

Rytm jako światopogląd.

Rytm w poezji stanowi pierwiastek upojeń, oszołomień i uczuciowych, nielogicznych nakazów, którym się stają posłuszne — oddzielne słowa, skupiające się i gromadzące nieświadomie dookoła nieznanej, niepochwytnej a spiewnej pokusy. Tracą one wówczas określoność i abstrakcyjną ograniczoność swej treści, wymykają się ścisłym, raz na zawsze ustalonym prawom logiki i gramatyki, zdobywając na nową pierwotną swobodę swych nieustannych przemian twórczych i pierwotną zdolność ciągłego dostosowywania się do nieokreślonej i niepochwytnej treści wabiącego je ku sobie istnienia.

Wówczas — w jasnowidzącym uniesieniu — jakby na przekór uznanym, prozaicznym prawdom lubią te z martwych powstałe słowa przeciwstawić akcentom logicznym lub gramatycznym — inny, swawolnie lub buntowniczo przeciw stałym prawom usposobiony akcent, który nam jednocześnie napomyka o innej prawdzie, w tajemnicach rytmu zawartej.

Boska to swawola i bunt to serdeczny, skrzydlatą stopą depcący wszelką prawomyślność logiki i codzienność prozy, o ile ta ostatnia odrębnym, przenikliwym, jak w powieściach Dostojewskiego, lub oględnym i zmyślnym jak w utworach Turgieniewa, rytmem nie nada swym słowom życia, samodzielnie tętniącego.

Boska to powtarzam swawola, gdy nieprzewidziany akcent pada skądciś na wyzwolone z wszelkich więzów i krępów słowo!

Gdy zamiast *dziewczýna*, z tęsknotą lub uśmiechem, posłuszni wymogom melodyjnych uniesień, wołamy: *dziewczyná*, usta nasze zdają się w owej chwili przywracać wolność temu słowu, aby się mogło na wolności odnowić i ożywić w swym dźwięku i w swej barwie. Mamy wówczas wrażenie, iż długo więzionego ptaka wypuściliśmy z klatki do lasu...

W oddalonych rzeczy krasie,
Jakby wstęga, *przewija się*
Łan za łanem, gaj za gajem...

Tak śpiewa Konopnicka, przekornie akcentując słowo: *przewija się* wbrew ustalonym prawom codziennego żywota...

Duch, oszołomiony rytmem, ślepnąc nagle na cały szereg zróżniczkowanych pojęciowo i od wszechświata oderwanych przedmiotów, zdolnym się staje do śpiewnych dociekań, niespodzianych ogarnięć i uprzytomnień całości, mniej pochwytnej, niż drogą logiki wyszczególnione z niej i sztucznie określone rzeczy. Światopogląd rytmiczny przestaje być — dogmatem, przekonaniem, zazadą lub martwą literą uznanego w danym czasie kierunku. Myśl, rozkołysana rytmem, nabiera tych żywiołowych falowań i tej zmienności, która ją z samem życiem wiąże, odbijając w niej, jak w czujnym na wszelki ruch i błysk zwierciadle nieznaną nam nigdy i tajemniejszą od własnej duszy naszej „zewnętrzność". Z zewnątrz bowiem przychodzą do nas te głosy i barwy i wonie, którymi — nie znając ich istoty — musimy przepoić nasze myślenie, aby się stało żywym, pokrewnym całemu światu i prawdopodobnym, jeżeli prawdziwym być nie może.

Rytm, oszałamiając myślenie owym winem, z zewnątrz na wargi nasze tryskającym, uczy nas zaufania i wiary w te po za nami bytujące potęgi, których ująć w ścisłe i ciasne karby logiki nie potrafimy, lecz którymi możemy się zawsze upoić i rozśpiewać.

Świat, badany myślą rozśpiewaną i upojoną, bliższy jest może prawdy, niż ów drugi postrzeżony myślą suchą, ubiegającą się o zaszczytne miano ścisłej.

Umysł bogów jest mniej ścisły i suchy, niźli porachuki logiki ludzkiej.

W poezjach Marji Konopnickiej, gdzie w chwilach największych najszczerszych uniesień, rytm panuje nawet nad obrazem, widzimy w całym przepychu jego potęgę.

W takich chwilach rozpraszają się kędyś i giną bez śladu wszelkie zasady i programowe rozumowania.

Oddzielne, pochwycone w godzinie śpiewu przedmioty zatracają narzucone sobie życiem codziennym znaczenia, wypełniając się nagle treścią, która je splata razem w jedną nierozerwalną harmonję.

Jakaś, że się tak wyrazimy, asocjacja wszechświatowa pozwala słowem, śpiewaniem przywołanym, stanąć obok siebie, zestawić się, zespolić w zdanie, które jeszcze przed chwilą było obce i niedostępne dla tych zbyt ściśle określonych i ograniczonych od siebie pojęć.

Teraz, gdy im przywróciła dusza poetki ich pierwotną treść dźwiękową, zrozumiały, iż są jeno oddzielnymi akordami jednej wielkiej symfonji. Teraz, nabrawszy lotu, zwabione wspólną melodją, bratają się ze sobą na nowo — łąka ze strumieniem. Gorzkie piołuny siwe z rzęsną rutą na grabie, żółty piasek mogiły z blaskiem miesięcznym.

Odzyskują harmonję naruszoną, raj utracony, w którym każde porównanie, każda przenośnia przypomina im o tajemnej łącznicy, o odwiecznym pokrewieństwie, o dziwnej — pomimo różnic — tożsamości. W poczuciu tego pokrewieństwa i tożsamości łączą się skwapliwie — barwa z kształtem, kształt z wonią, woń z dźwiękiem, przywracając całemu światu jego jednotliwość.

W tych splotach: rozplotach rozmaitych przedmiotów, w pieśni zbratanych tai się najpotężniejszy czar poezji i powab samego istnienia.

Bez tego czaru, bez poczucia tych nagłych zbratań się we wszechświecie najkrańcowszych barw, kształtów i dźwięków — trudno mówić o ukochaniu ziemi i ludu, trudno mówić o ukochaniu czegokolwiek.

B. Leśmian.

Aforyzmy

(Po przeczytaniu dzieł St. Brzozowskiego.)

Lęk przed zmartwiałą, żelazną formą tego, co jest, bierność charakteru i myśli, powstała na tle niemożności decydowania o sobie, niemoc i lekkomyślność środowiska — wszystko to przenosi tęsknoty twórcze ludzi lepszych w sferę atrakcyjnej koncepcji.

Brak oporu w tej sferze daje złudzenie mocy, złudzenie twórczości.

Z drugiej strony pozostając biernym, potwierdzam wrogi sobie żywioł codziedziennym, niecofnionym, kłamnym (choćby w szczegółach) życiem!

I w sferze koncepcji dzieje się nie lepiej. Ponieważ prawdy nowe zdobywa się jeno przez przekonaniowy w uczuciu i czynie stosunek do otaczającego, przeto w dziedzinie przeniesienia (hypostazy), potwierdzam i uświęcam tylko to, co ludzkość dotychczas przez twórczą wolę wywalczyła, dając styl rzeczom, które już są — balsamują je w śmierci pięknej.

Ale tęsknota twórcza przez to zaspokojoną być nie może: pragnie ona ukochanego dziecięcia: — Ruchu, który nowe, powszechnie obowiązujące warunki stwarza.

„Człowiek jest prawdą" — mówi Nietzsche. Szukanie prawdy poza sobą, to nałóg bierności i niemocy.

Ale człowiek jest względny i „tę względność" swoją trzeba chcieć przeciwstawić bezwzględności rzeczy dokonanych przez umarłe pokolenie".

Najdrobniejsze kłamstwa woli i odczuwania w życiu codziennym, oto straszna kraina zdrady (samozaparcia), oto twórczość, która poprze wszystko, co jest kłamnem i martwem.

Czuć taką odpowiedzialność tworzącej się ludzkości (inaczej wobec swej godności człowieczej), to znaczy stanąć wobec bohaterstwa w życiu. Hodować w sobie bohaterstwo każdej chwili jest jedynym obowiązkiem twórcy.

A jeżeli czuje się niemoc, kiedy trzeba przezwyciężać przekleństwo dziedzictwa i nocy grobów, kiedy czuje się we krwi truciznę bierności i przedajności wobec prawdy?

To i wtedy na tym straconym stanowisku trzeba. choćby z rozpaczą w sercu, świadomość i wolę rzucać jakby w nieskończony ocean śmierci.

A wierzyć można, bo tak mówi czyste sumienie i zoświadczenie wieków, że nie zginie żaden wysiłek, żaden protest ducha na marne.

„Czemże „ja" jestem?!" — „dla dzieła swego żyć chcę, nie dla siebie!" — A dzieło moje pomści mnie stworzeniem jednego momentu więcej z wyśnionej krainy mojej Wiary!

Staje się chwila, kiedy człowiek ujrzy nagle wartość swoją i obowiązującą go genialność.

Ogarnia go razem lęk i duma na myśl o tak ogromnej odpowiedzialności. Zakną sztuczne fetysze i podwójna buchalterja życia, nie umniejszy się jego cudowność niewymierność.

W głuchej pustce, nie mogący już na nic liczyć — budowniczy stoi nad otchłaniami, stwórca wielorakiej możliwości.

Odmładza się stara, ziemia i w każdym momencie jest pole dla ciebie, bohaterze! Śmiej się, niema przeznaczenia, jest jeno Zwycięstwo!

A ginący na straconych placówkach trwają wiecznie w glorji miłości i wszechmocnej woli ludzkiej

A nawet tylko uczciwi wobec myśli własnej i uczuć są już dobrymi bóstwami dla nas, duszących się w nikczemności środowiska.

Jan Rundbaken.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* DOKOŁA KATASTROFY. Od relacji wypadków na Jasnej Górze, gdy przeminęło pierwsze wrażenie, pisma nasze przechodzą pomału do rozważań i wniosków. Pomimo gorliwych zabiegów ze strony klerykalistów i związanych z nimi arcbikonfraterni zachowawczych — nie zdołano sprawy zbagatelizować, ani też uogólnić metodę wytrawnej dywersji, kładąc zbrodnie klasztorne na karb „ogólnego rozstroju". Prasa tego kierunku ujawniła, obok insynuacji i obłudy, nieszczery patos, który dziś nie wystarcza do tumanienia polskiej opinji. Natomiast zauważyć się daje potężniejący wpływ organów prasy wolnomyślnej, która powagą i śmiałością swoich wystąpień wysunęła się bezsprzecznie na czoło opinji i odtąd stanowić będzie jeden z najmiarodajniejszych jej czynników.

Głosy przytoczonych poniżej organów, jakkolwiek nie zupełnie jednolity reprezentują kierunek, tym nie mniej stanowią zgodny akord, który nie przebrzmi bez echa.

Kurjer Poranny:

Nieszczęście publiczne starano się zmienić w hańbę narodu. Kopalny przeżytek średniowiecznego „macochizmu", łączącego w harmonijny akord fanatyzm i obskurantyzm nabożnych praktyk zewnętrzno-religijnych z wyuzdaniem i morderczo-łupieżczymi instynktami usiłowano przedstawić jako wynik upadku moralności publicznej w społeczeństwie świeckim, podkopanej odstąpieniem od dogmatycznej etyki. Koniecznem się stało zaprotestowanie przeciwko metodzie, próbującym odwrócić uwagę od samej istoty rzeczy i zbrodnie „macochizmu" zwalić na odpowiedzialność „ducha czasu", podmywającego zmurszałe kolumny dotychczasowego systemu pojęć i porządku rzeczy, i uczynić z niego „hańbę narodu".

* * *

Wobec tego, co się działo na Jasnej Górze, trzeba przypomnieć, że ze strony klerykalnej niedawno jeszcze bez żadnych faktycznych podstaw, bez poważnych poszlak nawet, wprost na zasadzie dowolnego domysłu wysnuwano krzywdzące insynuacje hurtownie rzucające posępny cień na masy ludu, oraz na zastępy ideowej inteligiencji. Warto w tej chwili przypomnieć słowa biskupa Zdzitowieckiego, gdy w swej przemowie na koronacji Jasnogórskiej przypisywał dokonane świętokradztwo propagandzie wolnomyślnej i agitacji strajkowej, która zmaterjalizowała i rozchciwiła lud pracujący.

Jeżeli dziś przypomina sobie wypowiedziane wówczas słowa, samo wspomnienie musi go dławić w gardle.

Kurjer Lubelski:

...Pozostawmy Częstochowę żądnej cudowności masie — uważajmy ją za nasze Lourdes rodzime — i odseparujmy nasze sprawy narodowe od ojców Rejmanów lub Damazych.

W tym oświetleniu zbrodnia Częstochowska, przerażająca swą okropnością duszę naszą polską — staje się prostym klasztornym skandalem — dość częstym w tym przeżytku średniowiecza, nad którym możemy ze spokojem przejść do porządku dziennego.

Kurjer Łódzki:

Jeśli na Jasnej Górze, kradzione były bezkarnie przez szereg lat setki tysięcy rubli — to samo może się dziać i w wielu innych miejscach na mniejszą skalę, w miarę „wysokości" dochodów.

Jest to logiczny i konsekwentny wniosek.

To też społeczeństwo ma p r a w o i o b o w i ą z e k żądać od duchowieństwa, aby ofiary wszelkie, wbrew niczem nieuzasadnionemu twierdzeniu biskupa tyraspolskiego, znajdowały się pod ścisłą kontrolą wybranych w tym celu dozorów kościelnych.

Leży to nawet w interesie samego kleru, aby odsunąć od siebie bodaj cień posądzenia — bowiem bezkrytycznie ufać... dawno już przestaliśmy, a Jasna Góra i wierzącym otworzyła oczy.

Jeśli już skąpimy na cele kulturalne i oświatowe, to brońmy bodaj tych pieniędzy, które ofiarowane na kościół, zużytkowane mogą być inaczej.

Poza prasą świecką zasługuje na uwagę głos *Wiadomości Marjawickich*, rozchodzących się w sferach ludowych w ilości 26000 egz.:

Dla nas Marjawitów zbrodnie jasnogórskie, jak również wykrywające się coraz liczniejsze skandale wśród duchowieństwa są tylko zawnętrznym objawem, ujawnieniem tej zgnilizny moralnej, w jaką pogrążona została już oddawna hierarchia rzymsko-katolicka. Wskazywaliśmy od początku naszego wystąpienia na ten upadek kleru i na potrzebę reformy Kościoła, począwszy od najwyższych jego warstw, na potrzebę oparcia życia kapłanów na Ewangelji Chrystusowej.

Ale głos nasz został zagłuszony oszczerstwami i szyderstwem.

Teraz — w świetle niesłychanych zbrodni — całemu narodowi otwierają się oczy, o ile wystąpienie nasze było słuszne i jak potrzebna jest reforma kleru. Jest to nowe ostrzeżenie dla naszego społeczeństwa. Oby tylko skorzystało ono z niego należycie.

Myśl Niepodległa:

W drugiej dekadzie grudniowej 1909 roku w Nr. 119 w artykule „Ojciec Rejman przed sądem opinji" żądaliśmy

1) publikacji aktów dochodzeń w kwestji pożaru na Jasnej Górze,

2) publikacji wszystkich pozycji składek, które na odbudowę wieży wpłynęły,

3) publikacji rachunków kosztów odbudowy wieży,

4) usprawiedliwienia się z niedozoru i niedbalstwa około strzeżenia historycznej kaplicy,

5) wyjaśnienia, w jaki sposób jest obecnie zabezpieczony bogaty skarbiec klasztorny, przepełniony dziejowej wartości pamiątkami,

6) ogłoszenia taksacji skarbca tego, dokonanej przez fachowców i ludzi, cieszących się u społeczeństwa bezwzględnem zaufaniem,

7) publikacji przychodów i rozchodów klasztoru, który przecież rocznie wyciąga miljony ze społeczeństwa.

Dawaliśmy wyraźnie do zrozumienia, że w skarbcu mogą być braki, miast klejnotów falsyfikaty i że złodziei koron i sukienki obrazu szukać należy w samym klasztorze.

Wygłosiliśmy zasadę, że skarby częstochowskie należą do ogółu i że ogół ma prawo żądać zdawania rachunków.

Tymczasem biskup tyraspolski ksiądz Józef Alojzy Kessler w liście pasterskim, ogłoszono w Nr. 276 „Kurjera Warszawskiego" inną wygłosił zasadę:

„Ani biskup, ani proboszcz nie mają obowiązku zdawania parafjanom sprawozdania z zarządu majątków kościelnych... Żądania niektórych parafji, aby proboszcz zdawał im sprawę ze swych rządów, jest wynikiem p r o t e s t a n t y z m u sprzeciwia się z a s a d o m n a u k i k a t o l i c k i e j"...

Kto nie zdaje rachunków parafjanom, będzie je musiał kiedyś zdawać—sędziemu śledczemu.

Tak się obecnie dzieje na Jasnej Górze.

Nemezys dziejowa przekroczyła już próg sławnego klasztoru i dotknęła swym palcem nieubłaganym poświęcanych zbrodniarzy. Prawda mówi sama za siebie. Ale tu chodzi o to, czy naród będzie umiał wyciągnąć z tej kałuży zbrodni wszystkie konieczne konsekwencje i czy nareszcie zrozumie, że dalej biernym być nie może.

Z prasy obcej.

* Prasa czeska zajmuje się żywo zbrodnią na Jasnej Górze, przyczym podkreśla zgodnie zastraszającą wszechwładzę kleru w Polsce. Z uwag praskiego *Czasu* podajemy najmniej jaskrawe wyjątki:

„Jeśli kto zechce wskazać odstraszający przykład wyzyskiwania wiary ludu...—nie potrzebuje chodzić z burmistrzem rzymskim, Nathanem, do Apulji, aby tam konstatować straszną ciemnotę prostaków; wystarczy zwrócić się w stronę sąsiedniej Polski. Częstochowska Jasna Góra znaczy dla polaka tyle, co Akropolis dla ateńczyka. Jest to miejsce święte, na którem króluje częstochowska Bogarodzica.

„Tysiące, setki tysięcy prostego ludu oraz t. zw. inteligencji polskiej dążą rok rocznie na Jasną Górę, aby się pomodlić przed cudownym obrazem. Klasztor paulinów, którzy w historji Polski odegrali dodatnią rolę otrzymywał stale z tych pielgrzymek setki tysięcy rubli.

Zbrodnia mnicha Macocha jest jaskrawym przyczynkiem do studjów nad wpływem kleru na lud. Mnich Damazy Macoch, dopuścił się kradzieży, świętokradztwa, kazirodstwa i bratobójstwa. Charakterystycznym rysem psychiki tego księdza jest fakt, iż nie zapomniał udzielić ofierze wswojej chwili śmierci rozgrzeszenia, aby tenże nie dostał się do piekła.

Lecz to był czyn jednostki. Jaka jednak moralność panuje w klasztorze na Jasnej Górze widać z tego, iż Macoch do usunięcia trupa swego brata mógł odwieźć trupa tego przy udziale dwóch dorożkarzy, wziąwszy od nich przysięgę iż będą milczeli.

Obecnie Macoch, telegraficznie ekskomunikowany przez Papieża, broni się oświadczeniem, iż djabeł go opętał:

Jest rzeczą zupełnie prawdopodobną, iż Macoch, który do celi więziennej wstąpił czyniąc znak krzyża, zupełnie na serjo wierzy w tego djabła... Tam w Polsce, bez tradycji husyckich, problemat klerykalizmu jest o wiele trudniejszy do rozwiązania, niż u nas".

KRONIKA.

KARA PRASOWA. Tygodnik dla młodzieży, obchodzący w roku bieżącym 30-lecie istnienia p. n. „Wieczory rodzinne", skazany został w drodze administracyjnej na karę rb. 125 za artykuł w Nr. 26 tego pisma „Bojownicy wolności", omawiający pomniki Kościuszki i Pułaskiego w Ameryce.

FELICJAN FALEŃSKI. Zmarł w Warszawie Felicjan Faleński, poeta i prozaik. Ostatnimi czasy, przyciśnięty wiekiem i długą chorobą, nic nie dodał do ogromnego swego dorobku literackiego. Zmarły wiele utworów swoich rozrzucił po czasopismach, osobno zaś wydał między innemi: „Z po nad mogił", „Odgłosy z gór", „Kwiaty i kolce", dramat „Syn gwiazdy", głośną niegdyś powieść „Z daleka i Bliska", „Sama jedna", tragedje „Alka" i „Florynda", dramat „Franceska z Rawenny" i inne. Pisał też studja, tłnaczył poetów obcych, jal Hezjoda, Horacjusza, Dannıgo, Petrarkę, Heinego, Szyllera, Musseta i in.

SERGJUSZ MUROMCEW. W Moskwie d. 17 b. m. umarł wybitny polityk rosyjski, adwokat i uczony prawnik, słynny znawca prawa rzymskiego, Sergjusz Muromcew urodził się w 1850 roku w Petersburgu i pochodził ze strej rodziny szlacheckiej. Uniwersytet ukończył w Moskwie, a następnie słuchał prawa w Gettyndze u Gheringa. Po obronie rozprawy magistrowskiej „o konserwatyzmie w jurisprudencji rzymskiej" został docentem, a po uzyskaniu stopnia doktora za rozprawę „Zarysy ogólnej teorji prawa cywilnego" otrzymał katedrę prawa rzymskiego. -- W 1879 r. objął redakcję pisma „Juridiczeskij Wiestnik", który prowadził do zamknięcia tego pisma w 1892 r. Od 1880 roku był prezesem mosk. Towarz. prawniczego.

W 1894 r. musiał porzucić katedrę uniwersytecką, z powodów niezależnych od jego woli. Wtedy wstąpił do adwokatury moskiewskiej i zaliczał się do najwybitniejszych jej przedstawicieli. Zajął też wkrótce stanowisko prezesa rady adwokackiej.

Znakomity uczony z głębokim wykształceniem filozowicznym był też świetnym obrońcą cywilnym. — Napisał cały szereg poważnych prac z zakresu prawa rzymskiego i cywilnego i filozofji prawa. Na szczególną uwagę zasługują jego rozprawy p. n. „Prawa cywilne dawnego Rzymu", „Przyjęcie prawa rzymskiego na Zachodzie" i „Co to jest dogmat prawa".

Ostatnia jego praca była tłomaczona na język niemiecki przez Esmarda. Napisał też „Zarysy socjologiczne" które należą do bardzo oryginalnych wywodów naukowych.

Niezależnie od naukowej i prawniczej działalności, był Muromcew wydatnym działaczem społecznym. Od lat najmłodszych brał udział w pracach zarządów miejskich i ziemskich w Moskwie i Tule.

Gdy się rozpoczął ruch wolnościowy, Muromcew stanął na czele jego wodzów. Wybrany do Dumy pierwszej na posła — został jej prezesem. Ta jego działalność nie potrzebuje prawie przypomnienia. Był bezwzględnym zwolennikiem polityki kadetów, do których stronnictwa do końca należał. Za udział w podpisaniu odezwy wyborskiej odcierpiał więzienie i utracił prawa wyborcze.

Była to postać bardzo szlachetna i jedna z najwybitniejszych w szeregu postępowyzh polityków rosyjskich.

OFIARY.

Na wpisy dla biednych uczniów szkół polskich: od następujących pracowników T-wa Nikopol-Mariupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 10, T. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Kłeinsznek rb. 1, J. Tomaszewski rb. 1, S. Hegner rb. 2, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 3, H. Cywiński rb. 2, S. Pilarski rb. 1, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J, Rzewnicki rb. 2 J. Worszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, L. Mierzyński kop. 50 S. Szczawiński rb. 1, J. Rayski rb. 1, Z. Prokopowicz kop. 50, ogółem 50 rs.

Dr. Wiwatowski z Warszawy rb. 1,

Na szkołę w Kruszynku: p. Reppe z Łodzi k. 50.

Książki nadesłane do Redakcji:

— Upton Sinclair „Giełdziarze", wyd. E. Wende i S-ka Cena rb. 1,20.

— Ksawery Glinka: „Po Drodze", wyd. E. Wende i S-ka

— Zygmunt Wasilewski: „O sztuce i Człowieku wiecznym", wyd. E. Wende i S-ka.

— Chamfort przeł. K. Drzewiecki: „Maksymy i Myśli Charaktery, Anegdoty". wyd. E. Wende i S-ka.

— Dr. Tadeusz Jaroszyński: „W sprawie Psychoterapji", wyd. E. Wende i S-ka

— Perey Ashley M. A. tłum. J. Gościcki: „Zarząd centralny i lokalny", wyd. E. Wende i S-ka.

— K. Laskowski (El.) „Litwaki", wyd. E. Wende i S-ka. Cena 80 kop.

 OGŁOSZENIA. 

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę **przyjmują:** Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.